



Rok 2024

Nr 86–87

KALISZANIE

w Warszawie

Warszawa

ISSN 1425-803X

Maj

Od Redaktora

Jubileusze rządzą się swoimi prawami. Na organizatorów najczęściej pada błąd strach – czy wszystko się uda? Czy dopiszą Goście? Czy wszystko pójdzie zgodnie ze scenariuszem? – Pytania można mnożyć. Odpowiedzi poznamy tuż przed (niektóre), w trakcie, a wszystko będzie wiadomo po.

Piszący te słowa też ten lęk odczuwa. Już przecież wie, że kilku tekstów nie ma, niektóre dopiero będą – w następnym numerze. O jubileuszu zapomnimy, ale numer Kaliszan pozostanie trochę dłużej, może nawet na bardzo długo. Błędy czy inne niedociągnięcia będzie można wypominać jeszcze po latach. Redaktor zostanie rozliczony i osądzony bo jak zwykle zostawił wszystko na ostatnią chwilę. Zwłaszcza wstępniak ten rzeczywiście najczęściej pisze się ...na końcu.

O czym więc szanowny klubowiczu, gościu jubileuszu czy przypadkowy czytelniku przeczytasz na tych osiemdziesięciu stronach?

Jest krótka historia Klubu. Dowiesz się że rodowe pamiątki można znaleźć w telewizji. Przypomnisz sobie o „spaleniu” obrazu Rubensa w kościele św. Mikołaja i co wspólnego miał z tym pewien elektryk. Jakies światło rzuci na to wydarzenie sędzia, który wówczas mieszkał nie opodal – na Placu Bohaterów Stalingradu 1.



Andrzej Dębowy, Prezydent Krystian Kinastowski, Emilia Szymańska, Piotr Majewski
Fot. Katarzyna Ciupek, Urząd Miasta Kalisza

Działacz opozycji z lat siedemdziesiątych ujawnia jak został członkiem partii oraz jaki wpływ mają kobiety na życiowe wybory. Choć winą, że został ekonomistą obarcza pewnego profesora. Jest też w tej historii wątek obyczajowy związany z pewną kawiarnią na wspomnianym powyżej placu.

Trochę faktów ze swojego życiorysu ujawnia wiolonczelista, który został chemikiem spożywczym bo wychodził z założenia, że ludzie jeść muszą, ale wylądował w laboratorium kryminalistycznym. Na dodatek gra w brydża (z sukcesami).

Połowę wydawnictwa zajmują teksty związane z Powstaniem Warszawskim. Kaliszanie brali czynny udział w konspiracji, walczyli w najkrwawszym z powstań. Na łamach Kaliszan pisaliśmy o powstaniu wielokrotnie. Pozostałe teksty o tym wydarzeniu z przed osiemdziesięciu lat znajdziemy w następnym numerze.

W nim napiszemy także o Annie Tarchalskiej-Jodłowskiej, Andrzeju Wanke oraz Janie Ptaszynie Wróblewskim. Będą to niestety teksty z cyklu pro-memoria. Dowiemy się z nich wielu ciekawych rzeczy o naszych klubowych kolegach i koleżance.

Życzę dobrej lektury...

Redaktor

Spis treści

Klubie Kaliszan w Warszawie – to już 35 lat!	4
<i>Sławomir Janowski</i>	
Podziękowanie z okazji jubileuszu 35-lecia Klubu Kaliszan w Warszawie	8
Włącz Czwórkę...	9
<i>Jadwiga Mednis</i>	
Tajemnica kaliskiego Rubensa	11
<i>Bogdan Bładowski</i>	
Obraz Rubensa „Zdjęcie z krzyża” – historia nie zakończona...	15
<i>Andrzej Dębowy</i>	
Jak zostałem partyjnym...	20
<i>Waldemar Kuczyński</i>	
Curriculum Vitae (fragment)	29
<i>Andrzej Musiał</i>	
Chór Polonia w Warszawie – 30 lat działalności	33
<i>Andrzej Dębowy</i>	
List Pawła Białożyka	36
Stefan Konrad Śmigielski (1921–1990)	38
Z nad Proсны, przez Wartę i Morze Chińskie nad Wisłę	39
<i>z Janem Żardeckim rozmawia Jan Werner</i>	
Kaliszanie na barykadach Starówki	45
Rocznica 1 sierpnia	50
<i>Jan Winczakiewicz</i>	
Bohaterskie kaliszanki	51
<i>Stanisław Szarras</i>	
Odloty i powroty	55
<i>Z Alicją Bładowską rozmawia Henryk Podsiadły</i>	
O Barbaro	59
<i>Krzysztof Kamil Baczyński („Jan Bugaj”, „Piotr Smugosz”)</i>	

Katedra – 27 sierpnia 1944.....	60
<i>Zbigniew Blichewicz</i>	
Pierwszy sierpnia – dzień krwawy	65
<i>(śł. Autor nieznany, na melodię „Argentyńskiego tanga”)</i>	
Marsz Śródmieścia	68
<i>śł. Eugeniusz Żytomirski „Czarny”, Zbigniew Krukowski „Korwin”</i>	
<i>muz. Zbigniew Krukowski „Korwin”</i>	
Nierówny bój	69
<i>Zbigniew Zieliński</i>	
Sanitariuszka Małgorzatka.....	72
<i>śł. Mirosław Jezierski „Karnisz”, muz. Jan Markowski „Krzysztof”</i>	
Kaliszanie w konspiracji warszawskiej i Powstaniu 1944	
– polegli, zaginieni, pochowani, nieznani.....	74
<i>Tomasz Górecki</i>	
1-go września 1944	80
<i>Kazimierz Wierzyński</i>	

Klubie Kaliszan w Warszawie – to już 35 lat!

Z inicjatywą utworzenia w Warszawie regionalnego stowarzyszenia wystąpiło 25. Kaliszan na zebraniu 28 marca 1989 r., w jednej ze skromniejszych komnat Zamku Królewskiego, podejmując pamiętną uchwałę kreującą powstanie Klubu Kaliszan.

Na wniosek wybranego Komitetu Organizacyjnego (w składzie: przewodniczący Bogdan Bładowski, zastępca Henryk Podsiadły, sekretarz Alma Zawidzka) Sąd Wojewódzki postanowieniem z dnia 28 czerwca 1989 r. wpisał do rejestru stowarzyszeń Klub Kaliszan, określając teren działalności – Miasto Stołeczne Warszawę.

Funkcje Klubu są następujące:

- popularyzowanie dorobku historycznego i współczesnych osiągnięć Kalisza,
- podtrzymywanie i rozwijanie więzi z Kaliszem,
- inicjowanie działalności społecznej na rzecz rozwoju Kalisza i Warszawy,
- krzewienie kontaktów koleżeńskich, solidarności i samopomocy wśród członków.

Powstanie Klubu *de iure* stało się faktem historycznym. Wiadomość ta poprzez media, a najczęściej tzw. pocztą pantoflową pobudziło środowisko Kalisza. Nadchodziły do Komitetu liczne zgłoszenia członkostwa. Dało się dostrzec ożywającą dumę z historycznych związków Kalisza i Warszawy. Na pierwsze zebranie (I Forum) w auli Akademii Sztuk Pięknych przybyło około 300. Kaliszan. Wybrano Zarząd Klubu z Prezesem dr Bogdanem Bładowskim, uchwalono tekst Statutu (Kodeksu Klubu).

Kaliszanie w Warszawie są jedną z najbardziej licznych i aktywnych społeczności – o regionalnym rodowodzie i wielowiekowej, pięknej tradycji związków historycznych Kalisza z Warszawą.

Przypomnieć w tym miejscu można, że w latach 1820-1831 działali w Sejmie „Kaliszanie”, liberalni politycy szlacheccy na czele z braćmi Bonawenturą i Wincentym Niemojowskimi; w Powstaniu Listopadowym walczyły dwa pułki Jazdy Kaliskiej i dwa pułki Kaliskiej Piechoty Liniowej, a w rządzie powstańczym ministrem skarbu był kaliszaniec A. Biernacki; bo-

haterem powstania był Artur Zawisza – zgładzony przez siepaczy carskich na placu, nazwanym dziś jego imieniem; w Rządzie Narodowym Powstania Styczniowego uczestniczył Adam Asnyk; w Bitwie Warszawskiej 1920 roku walczył 29 Pułk Strzelców Kaniowskich z Kalisza, którego dowódca mjr Stefan Walter poległ pod Radzyminem; podczas wojny obronnej 1939 roku skrwawione nad Bzurą oddziały 25 Kaliskiej Dywizji Piechoty przedarły się do Warszawy i broniły jej na szanłcach Ochoty i Woli.

Kaliszaninem był Stanisław Wojciechowski – prezydent RP; w Warszawie mieszkali i tworzyli Maria Dąbrowska i Tadeusz Kulisiewicz; członkiem – założycielem Klubu był mjr J. Tęsiorowski – legendarny dowódca Obwodu Praskiego Kedywu AK. Wśród kaliszian w Warszawie są ludzie sztuki i nauki, wybitni profesjonalisci różnych zawodów, niektórzy z nich piastują wysokie stanowiska państwowe.

Członkowie Klubu noszą znaczek organizacyjny, zaprojektowany przez jednego ze współzałożycieli klubu, profesora Jana Tarasina – ówczesnego rektora Akademii Sztuk Pięknych. Mamy swoją pieśń – „Kaliszanie w Warszawie”, ze słowami Kazimierzy Marczał-Gałązki, z muzyką prof. Haliny Golimont-Włodarczyk.

Refren brzmi:

*My kaliszanie, my kaliszanie
Tutaj nad Wisłą zadomowieni
W Warszawie adres nasz i mieszkanie
Kalisz to miasto naszych korzeni.*

Klub wydaje własnym sumptem czasopismo KALISZANIE, wpisany do rejestru czasopism 19 czerwca 1991 r., przy wsparciu Drukarni Lotos Poligrafia Sp. z o.o., której właścicielem jest rodzina Dreszerów. Redaktorem naczelnym kwartalnika jest Piotr Majewski.

Z wykładu Pani Profesor Barbary Szackiej: *W moim najgłębszym przekonaniu tym, co w płynnym i chaotycznym współczesnym świecie jest istotnym elementem stabilizującym człowieka jest jego niezmienna Prywatna Ojczyzna i spotkania z nią choćby przelotne, od czasu do czasu i na małą chwilkę, na przykład w Klubie Kaliszian. Magia miejsca w którym wszyscy mamy nasze korzenie, jak powiada nasz hymn, jest jak widać na naszym przykładzie stała i niezależna od zmian zachodzących w kolejnych latach tak w nas, jak i w otaczającym świecie oraz w miejscu z którego się wywodzimy. Bo przecież Kalisz najstarszych z nas, takich jak ja, to zupełnie inny*

Kalisz niż Kalisz większości członków Klubu. Lecz jest to jednocześnie ten sam Kalisz przez, który płynie Proсна z jej odnogami, stanowi ją kamienny most w środku miasta, baszta Dorotka i kolegiata św. Józefa z cudownym obrazem Świętej Rodziny, do którego tuż po zakończenia wojny przybyła pielgrzymka kardynałów, aby podziękować św. Józefowi za ocalenie w latach wojny.

Jest w Kaliszu niezmienny nurt tradycji, kontynuowany zwłaszcza przez współczesne pokolenia jego mieszkańców – miłość do rodzinnego miasta, duma z jego historii, troska o jego rozwój, podtrzymanie więzi pomiędzy kaliszaniem w kraju i za granicą.

Te piękne idee, poza władzami miasta oraz instytucjami kulturalnymi, realizuje Towarzystwo Miłośników Kalisza, Kaliskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk oraz wiele działających tam stowarzyszenia byłych wychowanków szkół kaliskich, a poza miastem – jedyny w kraju nasz Klub Kaliszan. Nasze związki z rodzinnym miastem nie stoją w sprzeczności z ojczyzną wielką, przeciwnie – stanowią o jej bogactwie, wnosząc do skarbnicy narodowej odrębności dziedzictwa, tradycji, obyczajów, folkloru, języka, a także środowiska przyrodniczego. My, kaliszanie zrzeszeni w swoim Klubie w Warszawie – jak mówią słowa naszej pieśni: *Serca dzielimy dziś po połowie – między rodzinny gród i syreni.*

Pielęgujemy nasze korzenie kaliskie i szcycimy się nimi nad Wisłą, teraz „adres nasz” – tutaj mieszkamy, pracujemy, inicjujemy według postanowień statutu – działalność społeczną na rzecz rozwoju Kalisza i Warszawy.

Klub jest organizacją non profit, nie prowadzącą działalności gospodarczej, finansującą się wyłącznie z dobrowolnych składek członkowskich. Działalność Klubu odbywa się przy znaczącym wsparciu Mazowieckiego Instytutu Kultury (wcześniej MCKiS), w siedzibie którego odbywają się cykliczne zebrania ogólne.

Za dotychczasową działalność i osiągnięcia w upowszechnianiu kultury, Klub otrzymał wiele wyróżnień, listów gratulacyjnych i dyplomów oraz uhonorowany został medalami, w tym: Medalem Pamiątkowym 400-lecia Stołeczności Warszawy, Medalem „Za zasługi dla Mazowsza”, Medalem Godła Rzeczypospolitej, Odznaką Honorową za Zasługi dla Kultury Polskiej, oraz Medalem Pamiątkowym „PRO MASOVIA”. Indywidualne odznaczenia i dyplomy uznania za działalność społeczną otrzymali najbardziej zasłużeni członkowie Klubu.

Zarząd Mazowieckiego Towarzystwa Kultury przyznając Klubowi medal „Za zasługi dla Mazowsza”, w liście gratulacyjnym podpisanym przez prof. Marka Kwiatkowskiego i Zygryda Rekosza napisali m.in.:

Kaliszanie zapisali w czasach Królestwa Polskiego piękne karty obywatelskiej aktywności. Stanowili liberalną opozycję w Sejmie, broniąc swobód obywatelskich. Współcześni kaliszanie zrzeszeni w warszawskim Klubie, wierni tej tradycji, działając na różnych polach aktywności zawodowej i społecznej, pielęgnują serdeczne uczucia do kaliskiej ziemi rodzinnej i do Warszawy. Los sprawił, że tu na Mazowszu realizujecie Państwo swoje ambicje i pragnienia. Z tych powodów jesteście nam bardzo bliscy.

W roku 2024 r. obchodzimy 35-lecie Klubu, który zaznaczył w tym czasie swoją działalność na mapie społecznych dokonań Warszawy i Kalisza. Klub zbliżył nas do rodzinnego miasta, odrodził i nawiązał nowe między nami kontakty – towarzyskie, koleżeńskie, przyjacielskie.

Sławomir Janowski





KLUB KALISZAN W WARSZAWIE

*„My kaliszanie, my Kaliszanie
tutaj nad Wisłą zadomowieni
w Warszawie adres nasz i mieszkanie
Kalisz to miasto naszych korzeni”*

PODZIĘKOWANIE

Z okazji jubileuszu 35-lecia Klubu Kaliszan w Warszawie składamy serdeczne podziękowania

Dyrekcji i Pracownikom Mazowieckiego Instytutu Kultury w Warszawie

za wieloletnie wsparcie działalności naszego stowarzyszenia oraz umożliwienie organizacji wielu ważnych dla nas wydarzeń o charakterze społeczno-kulturalnym, w budynku Mazowieckiego Instytutu Kultury przy ul. Elektoralnej 12 w Warszawie.

Dziękujemy za dotychczasową współpracę oraz liczymy na dalsze współdziałanie przy realizacji naszych pasji i zamierzeń, mających na celu popularyzację dorobku historycznego i współczesnych osiągnięć kaliszan, jak również podtrzymywanie więzi pomiędzy Kaliszem i Warszawą.

w imieniu

Zarządu Klubu Kaliszan w Warszawie

Prezes

dr Bogdan Bładowski

Warszawa, 14 maja 2024 r.



Włącz Czwórkę...

Jest 15 marca 2023 roku, wieczór. Ja przed telewizorem a tu natarczywie dzwoni telefon. Odbieram i słyszę Ewę, kuzynkę z Łodzi. – Jeśli siedzisz przed telewizorem to włącz „4.” Próbuję dopytać po co, ale słyszę stanowcze „włącz nie pytaj, zobaczysz”. Już nie oponuję, spełniam polecenie i zastanawiam się co też Ewa mi poleca. Na kanale „4.” leci program „Łowcy skarbów – kto da więcej”, nie znam tego programu. – Na ekranie widzę rękę trzymającą porcelanowy imbryczek. – Białe, z brązowym brzegiem i brązowymi inicjałami „HE”. Poznaję! – To porcelana wyprodukowana w Fabryce Porcelany w Ćmielowie dla Hotelu Europejskiego w Kaliszu! Jak sobie uzmysłowiałam co widzę – to tży same płyną do oczu...

Hotel Europejski w Kaliszu, przy Mariańskiej był własnością moich pradziadków – Jana Łukasza i Leokadii Przybylskich. Jan Łukasz zmarł w 1913 roku a hotel zaczął prowadzić od lipca 1914 jego syn Jan Lech Przybylski z żoną Stefanią. Niestety nie trwało to długo, przyszła wojna. W sierpniu tegoż samego roku budynek został zburzony podczas ostrzału artyleryjskiego. Centrum Kalisza uległo zburzeniu a rozniecony ogień dokonał dzieła zniszczenia. Tak do Kalisza zawitała I Wojna Światowa... Zainteresowani, ślady tych wydarzeń znajdują na stronach powieści Marii Dąbrowskiej „Noce i dni”.

Po wojnie prababcia Leokadia zaciągnęła dwie pożyczki bankowe. Pożyczyła też pieniądze od znajomych. Hotelu już nie odbudowała. W jego miejscu stanęła solidna, mieszczańska kamienica czynszowa z trzema oficynami. Budynki przetrwały do dziś.



Porcelanowa zastawa z brązowymi inicjałami „HE”



Jadzia Medenis (z lewej) i Emilia Szymańska
(z prawej)

Ale wróćmy do początku tej historii, czyli do programu telewizyjnego. Podczas programu Pani Karolina Wańko chciała sprzedać 11 elementów serwisu hotelowego – 2 salaterki, półmisek, 4 imbryczki, 4 łyżki porcelanowe. Cały ten „skarb” otrzymała od teścia, który mieszkał w tej kamienicy z rodziną. A hotelowa porcelana przetrwała w jednej z piwnic. Na moje szczęście w trakcie programu nikt nie kupił tej porcelany. Udało mi się złapać kontakt z panią Karoliną. 25 marca Pani Karolina przewiozła mi do Warszawy porcelanę prezentowaną w programie telewizyjnym oraz jeszcze 29 elementów hotelowej zastawy (imbryki, łyżki) – czyli w sumie 40 sztuk. Kupiłam to wszystko do spółki z Joanną, kuzynką spod Bydgoszczy dla całej naszej dużej rodziny – współwłaścicieli kaliskiej kamienicy przy Mariańskiej 4...

Ot, zwyczajna historia...



Hotel Europejski w Kaliszu

Jadwiga Mednis

Tajemnica kaliskiego Rubensa

Nieszczęście wydarzyło się jednej z grudniowych nocy 1973.

Mieszkałem wtedy jeszcze w Kaliszu, przy Głównym Rynku 1, w domu „pod główkami” (medalionami z podobiznami Dąbrowskiej, Konopnickiej, Asnyka, Rogozińskiego, pod napisem „Stawia nasz Gród”). Pracowałem, co będzie miało znaczenie w tej opowieści, na stanowisku prezesa Ośrodka Sądu Wojewódzkiego. W gmachu dawnego Trybunału Kaliskiego przy Alei Wolności 13, którego klasycystyczny fronton w rysunku W. Kościelnika widnieje na okładce poprzedniego numeru naszego kwartalnika, zajmowałem na II piętrze ogromny gabinet z imponującym kompletem mebli z orzecha kaukaskiego, zachowanych z okresu przedwojennego (!). Rano w mieście zawrzało, Kaliszan zbulwersowała i bardzo zmartwiła wiadomość, iż słynny, jedyny w Polsce, Rubens: „Zdjęcie z krzyża”, spłonął doszczętnie podczas pożaru w kościele parafialnym św. Mikołaja przy ul. Kanonickiej, zwanym „Kościołem Kanoników”. Jeszcze tego samego dnia pojawiła się inna wersja utraty bezcennego zabytku, że mianowicie został skradziony, a sprawcy dla zmylenia śladów wzniecali pożar pod głównym ołtarzem, który obraz zdobił. Obie wersje wydarzenia poszły w świat i do dzisiaj sprawa nie została definitywnie wyjaśniona.

Kościół Kanoników w Kaliszu należy do najstarszych w kraju, ufundowany został w 1253 r. przez Bolesława Pobożnego. Wzniesiono go w stylu gotyckim, w późniejszych okresach był wielokrotnie przebudowywany. W 1620 r. sekretarz królewski i starosta bydgoski Piotr Żeromski, przebywając w Niderlandach, spotkał się z Peterem Rubensem w jego pracowni w Antwerpii i urzeczony maestrią „Zdjęcia z krzyża”, zakupił obraz dla kaliskiej świątyni. Po upływie dwóch wieków od śmierci artysty, pojawiła się wątpliwość, czy namalował on obraz własnoręcznie, czy też „pochodzi” z jego pracowni, będąc dziełem któregoś z pomocników, notabene sławnych malarzy, jak Jan Breughel, czy Anton van Dyck. Badający ten problem historycy sztuki, po zapoznaniu się zwłaszcza z korespondencją prowadzoną przez Rubensa z Żeromskim, uznali ostatecznie autorstwo samego mistrza za niepodważalne. Obraz mający znaczne rozmiary (324x214 cm),



„Zdjęcie z krzyża” – obraz Petera Paula Rubensa

był już w przeszłości ratowany z pożarów, jakie nawiedzały świątynie, a drugą wojnę światową przetrwał w ukryciu przed Niemcami. Po renowacji wrócił na swoje miejsce i przyciągał do Kalisza licznych turystów i miłośników sztuki. Mieszkając i pracując w rodzinnym mieście, niejednokrotnie prowadziłem swoich gości, prywatnych i służbowych „do Rubensa”, który budził ich podziw swoim pięknem i doskonałością wykonania. Chociaż, ze względu na swoją pracę w sądownictwie, miałem na temat wydarzenia z Rubensem relacje niejako „z pierwszej ręki”, a więc z szefostwa prokuratury i komendy straży pożarnej, nie trafiły mi do przekonania wnioski, formułowane w tym czasie zbyt

arbitralnie, że to pożar był wyłączną przyczyną utraty obrazu, że przy tym wywołany został samoistnie skutek zwarcia wadliwej instalacji elektrycznej w kościele.

W dwa lub trzy dni po opisanym wydarzeniu, w moim gabinecie odezwał się telefon i sekretarka zaanonsowała redaktora Antoniego Świeszczakowskiego z Warszawy. Ucieszyłem się, był to bowiem mój kolega z ławy szkolnej. Mieszkaliśmy po sąsiedzku i mieliśmy na bieżąco mnóstwo różnych wspólnych spraw, od wycieczek w górę Proсны po gorące dysputy filozoficzne. Ostatnimi laty spotykaliśmy się rzadko, ja po maturze studiowałem prawo w Poznaniu, po czym wróciłem do Kalisza, gdzie podjąłem służbę w sądownictwie; on natomiast wyjechał na studia dziennikarskie do Warszawy i tutaj już pozostał. Był zdolnym i rzutkim żurnalistą, chętnym do kontaktów koleżeńskich, zwłaszcza z „rodakami”, co spo-

wodowało następnie jego udział, o czym już niegdyś pisałem, w organizowaniu wspólnie z Depczyńskim i Podsiadłym „nieformalnych” zebrań Kaliszan w Warszawie. Ostatnio jednak, po wcześniejszym przejściu na emeryturę, stał się odludkiem, wyjątkowo już tylko spotykającym dawnych kumpi. Nie wstąpił do Klubu... Gdy zatem Tolek odezwał się w słuchawce, zapytałem go skąd dzwoni, a usłyszawszy, że jest w Kaliszu, „zażądałem”, aby natychmiast do mnie przyszedł na pogawędkę przy dobrej kawie. Odpowiedział, że nie bardzo może skorzystać z mojego zaproszenia, siedzi bowiem w „kiciu” przy ul. Jasnej. Wyjaśnił mi też pokrótce tego przyczynę. Wyraziłem nadzieję na rychłe nasze mimo wszystko spotkanie. Połączyłem się zaraz z prokuratorem i zaledwie po kwadransie miałem już swojego gościa przy stoliku. Nie kryjąc podziwu dla mojej, jak ją określił, „piorunującej interwencji”, powiedział, że przyjechał na reportaż o aferze „rubensowej”, delegowany przez naczelnego „Prawa i Życia”, jako znany w zespole redakcyjnym Kaliszanin. Udał się do „Kanoników” i w znanej sobie dobrze świątyni rozpoczął prywatne śledztwo, jak się miało okazać, pod bokiem pracującej tutaj ekipy śledczej, która spostrzegła intruza, a gdy okazało się, że zapomniał legitymacji dziennikarskiej, pod pretekstem wyjaśnienia tożsamości zawodowej zatrzymano go i przewieziono do Komendy Milicji. Ponieważ „wyjaśnianie” tutaj przeciągało się niepokojąco, Tolek zdecydował się na ratowanie z opresji, telefonując do mnie.

Po długiej rozmowie na temat świeżego jeszcze w emocje wydarzenia, załatwiłem Tolkowi możliwość kontynuowania tak niefortunnie przerwane go zbierania materiałów do reportażu. Trzeba przyznać, że był on gruntownie przygotowany do swojego zadania, którego wypełnienie zaowocowało znakomitym utworem pt. „To był nasz jedyny Rubens”. Pisał m.in. „Osobliwy to był pożar. Ogień strawił prawie wyłącznie, ale doszczętnie, środkową część ołtarza głównego, a więc miejsce w którym umieszczono »Zdjęcie z krzyża«. Wraz z obrazem Rubensa spłonął wiszący wyżej obraz przedstawiający św. Mikołaja i wieńcząca ołtarz rzeźba Boga Ojca. Lewa i prawa strona tryptyku ocalały w takim stopniu, że zachowały się nawet złocenia pokrywające drewnianą obudowę ołtarza. Wygląda to tak, jak gdyby w miejscu, w którym wisiał obraz Rubensa, operowano osobnym źródłem ognia o najwyższej, ściśle ukierunkowanej sile płomienia. To porównanie nasuwa się również przy oglądaniu dalszych skutków pożaru. Płomień szedł w górę wąskim pasem w środkowej części ołtarza i dopie-

ro na sklepieniu znalazł tamę. Tu w kilku miejscach odpadł tynk do gótej cegły. Podobnie nagą i osmoloną, wręcz czarną cegłą widać na tynkach ołtarza w bezpośrednim sąsiedztwie obrazu”. W związku z uznaną przez siebie za niewiarygodną hipotezą o zwarciu instalacji elektrycznej, wyraził przekonujący pogląd, że niezwykle byłoby, aby ogień wybuchł z tak ogromną siłą i tak szybko się rozprzestrzenił. Miał przecież do strawienia zaledwie 10 m. kw. płócien dwóch obrazów i ich drewnianą obudowę. Ponadto w grubej warstwie popiołu nie znaleziono najmniejszych fragmentów płótna „Zdjęcia z krzyża”. Ocalał natomiast, około 120 cm długi, fragment spalonego blejtramu z wąskim paskiem płótna, które czyni wrażenie odciętej pozostałości. Jest to grube płótno, tkane maszynowo, z pewnością nie z początków XVII wieku. Może to pozostałość obrazu Rubensa. W latach 1920-22 obraz przechodził bowiem gruntowną renowację. Chociaż kaliscy prokuratorzy w rozmowach ze mną odnosili się sceptycznie do wniosków „detektywa z Warszawy”, to z kolei także inni dziennikarze podzielali jego wątpliwości i wysuwali dalsze jeszcze argumenty mające przemawiać za kradzieżą.

Wydarzenie z kaliskim Rubensem stało się kanwą scenariusza filmu fabularnego „Prom do Szwecji” – o przemyście z Polski do Skandynawii dzieł sztuki. W opublikowanym po 18 latach w „Prawie i Życiu” artykule „Jedyny Rubens”, kolega redakcyjny Tolka, Marek Rymuszko pyta: Co zatem stało się naprawdę tamtej grudniowej nocy w Kaliszu? Czy „Zdjęcie z Krzyża” rzeczywiście spłonęło, czy też zostało, w wyniku starannie zaplanowanej przestępczej operacji, skradzione i wywiezione potajemnie z kraju? – Na pytanie to nie da się odpowiedzieć z całą pewnością, zwłaszcza dziś, po latach. Pewne jest jedno: że straciliśmy wspaniałe, niepowtarzalne dzieło sztuki, które chciałyby mieć w swoich zbiorach najznamienitsze światowe galerie malarstwa. Do niedawna był to rzeczywiście nasz jedyny Rubens. Kilka miesięcy wstecz przeczytałem w „Rzeczypospolitej” o prezentacji na aukcji w hotelu Sobieski jedyne go znowu w Polsce, autentycznego obrazu Petera Rubensa „św. Helena”. Jednak mylący był tytuł artykułu, mówiący o pierwszym w Polsce Rubensie. Pierwszy był kaliski Rubens – „Zdjęcie z Krzyża”.

Bogdan Bładowski

Kaliszanie w Warszawie Nr 8, czerwiec 1995 str. 18-22

Obraz Rubensa „Zdjęcie z krzyża” – historia nie zakończona...

W grudniu ubiegłego roku minęła okrągła pięćdziesiąta rocznica tragicznego, tajemniczego i brzemiennego w skutki wydarzenia, które nastąpiło w Kaliszu w 1973 roku.

Otóż w nocy z 13 na 14 grudnia tegoż roku w kościele pw. św. Mikołaja przy ul. Kanonickiej wybuchł pożar ołtarza głównego kościoła, w którego centralnym miejscu osadzony był obraz słynnego, wybitnego malarza flamandzkiego Petera Paula Rubensa „Zdjęcie z krzyża”. Obraz o wymiarach: wys. 3,2 m, szer. 2,1 m, malowany w pracowni Mistrza ówczesną techniką farb olejnych, na lnianym płótnie, którego powstanie datowane jest na lata 1615-1617.

W czasie pożaru obraz spłonął, co stwierdzono w wyniku śledztwa prowadzonego przez prokuraturę kaliską pod nadzorem organów nadrzędnych. Po niecałym roku śledztwo zostało umorzone. Po latach śledztwo uznano za pospiesznie i powierzchownie prowadzone, mało wnikliwe, bez analizy ważnych dowodów, niedbale i nie fachowo, tak jakby ktoś wywierał presję na śledczych „załatwcie to i zajmijcie się poważniejszymi sprawami” – umorzone szybko z niejasnych powodów.

Na temat pożaru i wiążącą się z tym utratą jednego z trzech najcenniejszych znajdujących się w Polsce dzieł sztuki napisano już tysiące stron. Literatura dotycząca tego wydarzenia i towarzyszących mu niejasnych okoliczności jest bardzo obszerna i po pięćdziesięciu latach łatwo dostępna, np. w Internecie, jednak ze względu na to pięćdziesięciolecie warto niektóre aspekty przypomnieć i zastanowić się nad nimi.

Kościół pw. św. Mikołaja
przy ul. Kanonickiej



Gdy w 1620 roku obraz trafił do kaliskiego kościoła św. Mikołaja (przyjętego z radością i należnym szacunkiem) – uznano, że na tę chwilę nie ma tu godnego miejsca na eksponowanie takiego wielkiego dzieła, za które już wtedy obraz ten uznano. Podjęto zatem decyzję o wybudowaniu nowego, okazałego ołtarza w końcu nawy głównej kościoła, w którym, po zakończeniu budowy ok. roku 1622, na honorowym miejscu, w złożonych ramach, na podłożu z desek, ten wspaniały obraz, to wspaniałe dzieło ludzkiego geniuszu – został osadzony. I tu też przebywał, z małymi przerwami – ok. 350 lat.

Okoliczności towarzyszące sprowadzeniu do Polski tego arcydzieła to osobna, ciekawa historia opisywana wielokrotnie i szczegółowo przez profesjonalnych historyków w wielu opracowaniach naukowych. Wspomnę tu jedynie o dyplomacie Króla Zygmunta III Wazy, sekretarzu Króla, kaliszanie Piotrze Żeromskim (Żerońskim?), który przy okazji misji dyplomatycznej pełnionej w Niderlandach zakupił i przywiózł do Polski ten wspaniały obraz. Podczas tych 350 lat kościół pw. św. Mikołaja przechodził różne wydarzenia, jak m.in. przebudowy, pożary, remonty, zmiany w administracji kościelnej, wojny, itp., ale obraz otoczony troskliwą opieką trwał i dbano

o niego z wielką estymą dzięki czemu przetrwał do feralnego 1973 roku, (przechodząc w czasie swego istnienia dwie konserwacje). – I przetrwał w dobrym stanie. Dziś miałby ponad czterysta lat.

Historia obrazu udokumentowana jest w wielu dostępnych źródłach i nie będę ich tu przytaczał ze względu na ogrom powstałych po latach materiałów. Może do nich sięgnąć każdy zainteresowany: relacje, sprawozdania ze śledztwa, artykuły, analizy, komentarze, hipotezy w tym oczywiście także zwykłe plotki, Są też przekazy



Wypalony obraz Rubensa „Zdjęcie z krzyża”



Kopia obrazu Rubensa, namalowana w 1977 r. przez kaliskiego malarza Bronisława Owczarka

ustne w pamięci ludzi, którzy znaleźli się w otoczeniu spraw związanym z tym wydarzeniem, pamiętają ją, i czasem jeszcze żyją.

Jedną z tych postaci jest, a właściwie był mój śp. Ojciec. Był on jednym z trzech rzemieślników wykonujących fizycznie modernizację instalacji elektrycznej całego kościoła obejmującej m.in. remont, a właściwie wymianę na nową instalacji elektrycznej w bezpośrednim otoczeniu ołtarza głównego. Słowo o moim Tacie? Krótco się nie da – był on postacią nietuzinkową,

w moim mniemaniu wybitną w środowisku i niezwykle kompetentną w swoim zawodzie. Tu, w kontekście wykonywanego w kościele zadania dodać trzeba, że miał do tych robót wszystkie wymagane uprawnienia zawodowe, Jestem z Niego dumny. Jego życie to osobny rozdział, który może kiedyś opiszę w osobnym wspomnieniu, bo na to zasługuje.

Wracając do sprawy pożaru, a właściwie do tego co się w Kaliszu po pożarze działo? Jakie poruszenie to wywołało? Ile dyskusji? Ile tajemnic, komentarzy, domysłów, pomówień, plotek? Wrzało! Pracowałem już w Warszawie, ale z domem rodzinnym w Kaliszu utrzymywałem ścisły kontakt i atmosferę z tamtych dni wokół tego wydarzenia pamiętam doskonale m.in. z opowiadań Ojca, ale nie tylko. Szczególne wrażenie zrobiła na mnie i moim bracie, relacja rodziców z dwukrotnego najścia naszego mieszkania: raz przez umundurowanych funkcjonariuszy MO, drugi raz przez śledczych po cywilnemu. W obu przypadkach funkcjonariusze zachowywali się jakby byli już na tropie przestępców, nie wiem, czy mieli stosowne do tego upoważnienia. Przeszukali mieszkanie przejrzyli wszystkie pomieszczenia i schowki poza mieszkaniem, piwnicę. – Szukali obrazu? –

Mało prawdopodobne, ale możliwe. Później dowiedziałem się, że podobne wizyty mieli wszyscy wykonawcy tych prac elektrycznych w kościele.

Podczas rozmów poruszaliśmy szczególnie aspekt techniczny i organizacyjny wydarzenia – modernizacja instalacji elektrycznej prowadzona była profesjonalnie przez zespół pod kierunkiem inżyniera – autora projektu, a fizycznie wykonywana przez uprawnionych rzemieślników pod kierunkiem mojego Ojca (wszyscy pracownicy miejscowego Zakładu Energetycznego, elita kaliskich elektromonterów).

Modernizację zakończono, instalację użytkowano zgodnie z przeznaczeniem po odpowiednim przeszkoleniu użytkowników – księży (i zapewne kościelnego). Szczególne oburzenie mojego Ojca wywoływało podnoszone w śledztwie wątki o wadliwym wykonaniu instalacji. Dementował On zdecydowanie takie pomówienia i domysły jak „zaiskrzenie” kabli na drewnianym podłożu, przegrzanie kabli podczas długotrwałego użytkowania w wysokiej temperaturze, zastosowaniu materiałów o niskiej jakości i źle dobranych parametrach. – Nic takiego nie miało miejsca i nie mogło mieć.

Z inicjatywy mojego Ojca wszystkie przewody doprowadzające energię elektryczną zasilającą ołtarz poprowadzone zostały w bruzdach wykutych w murach z cegły i zatynkowane, a na konstrukcjach drewnianych – dla bezpieczeństwa – w rurkach. Próby formułowania w materiałach śledztwa rutynowych określić typu: „zaproszenie ognia od instalacji elektrycznej” nie trzymało się kupy, nie były też poparte rzeczowymi badaniami. Brak było jednoznacznych dowodów potwierdzających takie tezy. Był za to inny, koronny dowód wykluczający elektryczną przyczynę pożaru, a mianowicie w czasie pożaru, przed nim jak i podczas akcji gaśniczej – ołtarz główny był zupełnie odłączony od instalacji elektrycznej, od jakichkolwiek źródeł prądu za pomocą prostego i skutecznego zabiegu polegającego na ręcznym wykręceniu ceramicznego bezpiecznika topikowego zwanego potocznie „korkiem”, co było wykonane, zresztą zgodnie z zasadami użytkowania tej instalacji. Ołtarz nie był „pod prądem”, co potwierdziło śledztwo. I to jednoznacznie wyklucza „elektryczne” pochodzenie pożaru.

Jest jeszcze problem rozprzestrzeniania się ognia po ołtarzu. Obraz, jak wiemy znajdował się w dolnej części ołtarza, a źródło ognia wykryto powyżej obrazu. Każda drewniana paląca się konstrukcja spala się w górę, co zgodne jest z prawami fizyki – a tu spłonął obraz znajdujący się poniżej źródła ognia. Czy wobec tego ogień rozprzestrzenił się w dół? Czy może

było jeszcze jedno, inne źródło ognia? Czy może palące się elementy górne spadając płonące na dół podpałały wtórnie od dotu ołtarz z obrazem? Nie wiemy czy te wątpliwości zostały wyjaśnione i czy po latach są w ogóle możliwe do wyjaśnienia.

Jak już wspomniałem, po niespełna roku, śledztwo umorzono godząc się z wersją pożaru i koniec. Pozostały pytania i wątpliwości? Kto chce niech bada dalej, biegli eksperci wykonali swoją pracę, odfajkowali, materiały spakowali i odłożyli.

I na koniec fakt porażający: odłożony razem z materiałami śledztwa dowód rzeczowy w postaci górnego fragmentu obrazu wraz z częścią złocotej ramy oraz fragmentem płótna, o dziwo, nie noszący śladów spalania, ale z wyraźnym śladem cięcia płótna (wycinania) ostrym narzędziem – po pewnym czasie od zakończenia śledztwa, gdy wrzawa ucichła, szczegóły zacieraty się już w pamięci – znika, gdzie się zapodział, nie ma, nie odnaleziono. Znika z archiwów prokuratury, spod zamknięcia, spod ochrony strzeżonego zapewne obiektu. Koronny dowód kradzieży płótna i sfingowania pożaru – jeden dowód o wadze wszystkich, pozostałych materiałów śledztwa razem wziętych, Niesamowite.

Rodzą się kolejne pytania np. komu i po co miałyby zależeć na utwierdzeniu opinii o spłonięciu obrazu i zakończeniu na tym sprawy? I dalsze pytania, i wynikające następne pytania, itd. – większość bez odpowiedzi.

Być może po latach, przy innych śledztwach dot. spraw podobnych, kradzieży dzieł sztuki, w jakimś policyjnym „archiwum X” ujawnione zostaną nowe materiały i powiązane ze sprawą kaliskiego obrazu, może doprowadzą do ostatecznego wyjaśnienia. A może obraz się odnajdzie i wróci na swoje miejsce? Oby tak się stało. Póki co, na honorowym miejscu po obrazie, po wyremontowaniu ołtarza – umieszczono jego wierną kopię wykonaną przez kaliskiego artystę. – Jest zatem jak dawniej, tylko obraz nie ten.

Wszyscy kaliszanie jak jeden mąż bardzo by tego pragnęli – minęło już bowiem pięćdziesiąt lat – kawał czasu, czasu, który w tym przypadku pracuje na naszą niekorzyść. Zatem zawodowcy ale poszukiwacze historii – do dzieła!

*Zebrał, opracował i opatrzył własnym komentarzem,
Andrzej Dębowy*

Warszawa, wrzesień 2023 r.

Jak zostałem partyjnym...

O mojej decyzji zapisania się do PZPR i do marksizmu, przesądziła w roku 1959 pewna świeżo wtedy upieczona studentka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i to wydziału teologii. Czegóż to diabeł nie potrafi obrócić na swój pożytek. Wyjaśni się to niżej.

Pamiętam doskonale, jak w roku 1966 mnie z partii wyrzucali (będzie i o tym, za jakiś czas), za to zupełnie zapomniałem, jak mnie do niej przyjmowali w roku 1959, widać moja późniejsza dysydencka strona zdecydowała wymazać postępek, który się z nią kłócił, choć dalibóg bez tej partyjności może i nie byłbym dysydem. Partyjnie niczym się w Kaliszu nie wyróżniłem, byłem „towarzyszem kandydatem”, którego raz jeden, dość paskudnie, całkiem instrumentalnie wykorzystano, grupowo, jeśli tak można powiedzieć. Chwały mi to nie przynosi, ale wydarzenie, które opowiem było pierwszą rysą na mej neofickiej partyjności. Miały być wybory, jeśli dobrze pamiętam, w kaliskiej Spółdzielni „Spółem” i towarzysze z Komitetu Miejskiego chcieli, żeby przebiegły one po partyjnej myśli, bo jak nam mówiono zarząd składał się z malwersantów. Później już doszedłem do wniosku, że pewnie było tak, iż zarząd pochodził z wyborów, które odbywały się w klimacie polskiego Października 1956 roku i mógł być zbyt niezależny w stosunku do Komitetu. Malwersantów, by po prostu zamknęli. Chodziło więc przypuszczalnie o „znormalizowanie” Spółem, ale towarzysze nie mieli większości na sali pośród prawdziwych spółdzielców. Postanowili więc wprowadzić na zebranie silną grupę młodzieżowych janczarów, z fałszywymi mandatami, by z pomocą ich głosów wybrać wygodny dla siebie zarząd. I tak się niestety stało, a Waldemar Kuczyński, jak bezwolny osioł wziął w tej manipulacji udział. Siedzieliśmy skupieni w jednym miejscu i jak manekiny podnosiliśmy ręce pod dyktando „starszego towarzysza” z Komitetu. Został mi po tym do dziś niesmak, ale to był pierwszy etap trzeźwienia z „czerwonki”.

W odróżnieniu od partyjnej, moja kaliska karta ZMS-owska jest dość bogata, choć też nie pamiętam, kiedy do owego „przedszkola partii” wstąpiłem, w jakich okolicznościach i z jakim stanem ducha. Na pewno nie stało się to na Politechnice jesienią 1958 roku, mimo że zetemesowcy prowadzili wśród pierwszorzeczników rekrutację. Pamiętam zebranie na samym początku roku akademickiego, na którym aktywiści ZMS i ZSP zachęcali by

wstępować do ich organizacji. Do ZSP zapisali się prawie wszyscy obecni, a do ZMS kilku. Organizacja ta utworzona w ramach odgórnej normalizacji ruchu młodzieżowego, który w październiku 1956 roku wymknął się partii z pod kontroli, była wtedy jeszcze bojkotowana. Od likwidacji „Po prostu” i spałowania przez ZOMO protestujących studentów minął dopiero rok. Kiedy dwa lata później zaczynałem studia na Uniwersytecie Warszawskim po bojkocie nie było już śladu. Życie wyegzekwowało swoje prawa.

Oprócz wspomnianej już studentki KUL na moje zbliżenie z awangardą klasy robotniczej, a szczególnie z jej młodzieżową przybudówką, wpływ mieli dwaj moi przyjaciele. Jeden przetrwał do dziś, a drugi znikł gdzieś w nurcie lat. O nim teraz trochę opowiem. Na imię miał Henryk, Heniek, trochę ode mnie starszy, szczupły, wzrostu średniego, czupryny bujnej, kędzierzawej. Dusza to była dobra, ale i stanowcza, z charyzmą. Dusza może nie bardzo tu pasuje, bo Heniek w Boga nie wierzył, wierzył w komunizm. Miał w sobie coś z ideowego aktywisty ZMP z początku lat 50-tych, ale ciągnąć siłą chłopów do kołchozów, czy robić im przymusowe omloty i zabierać zboże pewno by się nie zgodził i skończyłby, jako oportunistą uginający się przed wrogiem klasowym. Wychował go dom dziecka, znał świetnie literaturę polską, dawał nawet korepetycje, choć skończył tylko szkołę podstawową i właśnie zaczynał zaoczne liceum. Kiedy go poznałem był jednym z sekretarzy Komitetu Miejskiego ZMS w Kaliszu, odpowiedzialnym za organizację w szkołach średnich. Polubiliśmy się i zaprzyjaźniliśmy.

Zetemesowskiego aktywistę zrobiła ze mnie także obawa przed samotnością. Kończyło się lato 1959 roku. Wszyscy z licealnej „paczki” rozjeżdżali się do swoich uczelni, ja zostawałem sam z ciężko ugodzoną miłością, do owej studentki z KUL, która siedziała mi w piersi od rana do rana. Bałem się zimy dzielonej między tytuły egzekucyjne (po wyrzuceniu z politechniki mama powiedziała idziesz do roboty i zacząłem pracę, jako referent w Skarbowym Urzędzie Komorniczym Powiatowej Rady Narodowej w Kaliszu, a tytuł egzekucyjny to podstawowy dokument egzekucji podatkowej do dziś), siedzenie w domu – nawet nie przed telewizorem, bo ich nie było – i dręczące myślenie o dziewczynie, którego nijak nie było sposobu się pozbyć, a zresztą wcale tego nie chciałem. ZMS wypełnił mi czas nowymi sprawami, poczułem, że należę do wspólnoty związanej ideą, którą właśnie odkrywałem, trochę ku własnemu zaskoczeniu, bo przecież była tu od

dawna, a która teraz dopiero mnie oświeciła i uwiodła. Dlaczego dopiero teraz? No, bo skoro ja nie uwiodłem studentki z KUL-u to niech chociaż i trochę jej na złość, sam dam się uwieść czemuś bardzo od katolickiego uniwersytetu odległego. Pamiętam dobrze ten mechanizm podszyty odwetem, zupełnie idiotyczny z punktu widzenia celu, któremu miałby służyć, ale tak było. Ten idiotyzm w ogromnej mierze przesądził o moim dalszym życiu, w końcu jednak wcale nie idiotycznym.

W Komitecie Miejskim ZMS poznałem też nowych ludzi, moich rówieśników i to nie tylko od zebrań i porad, lecz także od wspólnego spędzania wieczorów. Najczęściej przesiadywaliśmy w kawiarni „Dorotka”, o wystroju bardziej tradycyjnym, powiedziałaoby się wówczas, przedwojennym niż znajdująca się po sąsiedztwie „Ratuszowa”, otwarta już po październiku 1957 roku i urządzona bardziej nowocześnie, co oznaczało mniej przytulnie, raczej „barowo” niż „kawowo”. „Ratuszowa”, bo była przy ratuszu, a „Dorotka”, od średniowiecznej baszty, przy kościele św. Józefa, resztkę murów obronnych miasta. W tej baszcie miano przed wiekami więzić dziewczynę imieniem Dorotka i tak nazwano najpierw samą basztę a potem kawiarnię. Miasta miewają swoje legendy. Kalisz też, jest wszak najstarszy w Polsce.

Dwie kawiarnie na 50-tysięczne już wtedy miasto, to brzmi niewiarygodnie, ale wtedy nikogo nie dziwiło. Parę lat wcześniej była tylko jedna. Rzecz w tym, że w okresie Planu Sześcioletniego prawdziwa kawa, choć nie wyklinana jak Coca Cola, była prawie jak ona niedostępna. Na pewno nie było jej w sprzedaży detalicznej. Pamiętam pomarańczę zdobytą przez mamę dla mnie w czasie wojny, nie pamiętam pomarańczy za Stalina i Bieruta. Niewielkie przydziały prawdziwej kawy miała może „gastronomia”, oczywiście upaństwowiona i zapewne sklepy za „żółtymi firankami” obsługujące elity rządzące; krajem i terenem. Naród pił wyłącznie kawę zbożową, zwykle marki „Turek”. Takie coś, jak prawdziwa kawa to byłby dla ludu pracy budującego socjalizm zbytek i trwanie cennych, bo skąpych dewiz, potrzebnych do kupowania na Zachodzie maszyn. Wkrótce po powrocie Władysława Gomułki do gmachu KC (później, gdy przyrównywania do Zachodu przestały brzmieć nieprawomyślnie, nazywanego „Białym Domem”) wróciła prawdziwa kawa do kawiarni. Raczej dzięki ogólnej zmianie, niż decyzji nowego „genseka”, bo on też ludu nie lubił rozpuszczać konsumpcyjnie. Pojawiły się wtedy w języku potocznym zapomniane określenia

kawiarnianej codzienności, takie, jak mała czarna i duża czarna, a nawet dowcipy: życzy Pan sobie małą czarną? Nie, wolę dużą blond. Kawę pijało się w tamtych czasach parzoną „po turecku”, przynajmniej na szczeblu konsumpcji ludowej i prowincjonalnej, a nie stołecznej i dygnitarskiej. Była to „zalewajka” nie mająca nic wspólnego z parzeniem tureckim. Łyżeczkę lub dwie ziarna dość grubo zmielonego w kawiarnianym ręcznym młynku wrzucano do szklanki, zalewano wrzątkiem i podawano przykrytą spodkiem. Kawę się wypijało, a fusy wyjadało, jak komuś smakowały. Mnie smakowały. Mała czarna to była łyżeczka mielonki i pół szklanki wrzątku, a duża to dwie łyżeczki mielonki i cała szklanka wrzątku. Popularności określeniom nadawało i to, że wyczerpywały kawową ofertę wczesnych czasów po stalinowskich. Można było co najwyżej zamówić jeszcze małą lub dużą, ze śmietanką. O jakimś cappuccino, czy kawie parzonej w ekspresie i pitej z filiżanek nikt w Kaliszu nie słyszał, bo w „tej naszej gastronomii” nie było ekspresów ani filiżanek, wcześniej zupełnie bezużytecznych. Królowała „jejmość szklanka”, do herbaty obowiązkowa nie tylko z konieczności, ale także „kulturowo”. Herbata z filiżanki smakowała gorzej. To chyba nawet nie był przykład ZSRR, tak w latach 50-tych kultywowany, tylko relikwyt panowania Rosji imperialnej w moim rodzinnym mieście.

Z tych posiadaczy w „Dorotce”, zwykle po pracy, często wieczorami, pamiętam niewiele. Z osób oczywiście Heńka, najwyższego z nas w hierarchii zetemesowskiej i faktycznego lidera paczki. Pamiętam też Barbarę, Baškę, bardziej może wyzywającą niż urodziwą. Ciemnej karnacji, bujnych czarnych włosów, zasługiwała na pseudonim „Czarna Baška” i chyba taki miała. Miała też dużo pewności siebie, energii, takiego młodego kobiecego biglu. Pojawiał się Jurek, „Szwedem” zwany jeszcze w liceum, świński, a życzliwej mówiąc nordycki blondyn. Największa polonistyczna indywidualność w mojej asnykowskiej klasie i dla równowagi, całkowity głąb z matematyki i okolic. Przez to powtarzał klasę i trafił do nas, kiedy byliśmy już w Xb. Jurek jeszcze zagości tu nieraz, ale wtedy był studentem polonistyki na Uniwersytecie Poznańskim i naszym oknem na szerszy świat, w tym na wojewódzkie władze ZMS, gdzie miał jakieś znajomości utkane dzięki pracy w Komitecie Uczelnianym „przedszkolaków partii”, jak wtedy nazywano czasem ZMS. Organizator z urodzenia, zjawiał się w „Dorotce” podczas pobytów w Kaliszu z różnymi pomysłami „na działanie”. Razu pewnego padł pomysł założenia gazety uczniów kaliskich szkół średnich. No i zaczęło się.

Ale zanim się zaczęły biesiady w „Dorotce”, to było czyste życie towarzyskie jesienią i zimą roku 1959. Wiosną następnego roku to już był schyłek. Zwykle okupowaliśmy ten sam stolik, w kącie, w głębi Sali naprzeciw okien wychodzących na ratuszowy plac. W kącie przy oknach przesiadywało jedyne towarzystwo, które zapamiętałem. Grupa trzech, czterech Pań, zadbanych, choć nie wiem, czy można by to nazwać elegancją, raczej pewną ostentacją, przesadą, także w upodobaniach. Mogły być po trzydziestce, a może o zgrozo przed czterdziestką, co dla mnie wtedy było wiekiem podeszłym. A pomiędzy nimi młody, w naszych ówczesnych latach, brunecik o bujnej kędzierzawej czuprynie, nader rozmowny, ale gestykulacji takiej miękkiej, jakby gejowskiej, oczywiście to słowo nie było jeszcze znane, mówiło się po prostu pederasta albo pedał, rzecz jasna z dezaprobatą i pogardą. To było ciężkie zboczenie, budzące odrazę, bo jak tak można, chłop z chłopem, baba z babą?! Skaranie boskie, Sodoma i Gomora. Ale raczej kojarzył się nam z żigolakiem, z młodziutką zabawką dla tych czterdziestoletnich „staruszek” i takie uwagi, w odróżnieniu od posądzeń homoseksualnych, siedział wszak z samymi kobietami, padały, być może całkiem niesłusznie. Jak i to, że najstarsza z tych dam, istna wymakijażowana babcia, podobno miała być hrabiną. Być może więc siadywały wtedy, w dwu sąsiadujących kątach kawiarni „Dorotka”, świat młodej komuny i arystokratycznej dekadencji, „chwasty”, jak mawiał Heniek Kupczyk. A może wszystko było zupełnie inaczej, jak się wtedy domyślaliśmy, a ja po tylu latach opisuję.

Pomysł wydawania uczniowskiej gazety pojawił się z końcem roku 1959. Chodziło o gazetę z prawdziwego zdarzenia, nie jakąś tam ścienną robioną pod okiem nauczycieli. Takich było pełno, choć już nie tyle co w czasach stalinowskich, gdy lepiono je powszechnie, z nakazu i obowiązku. Były płomienne, zawsze „po linii partyjnej”, idiotyczne i zwykle zwane „Błyskawicą”. Chcieliśmy zrobić pismo z prawdziwego zdarzenia, normalną gazetę pod skrzydłem Komitetu Miejskiego ZMS i skierowaną do kaliskich licealistów. W wyobraźni narzuconej przez tamte czasy gazeta całkowicie niezależna się nie mieściła.

Gazeta uczniowska na pewno wykielkowała najpierw w głowie Jurka, tego „Szweda”, który już wtedy miał za sobą pierwsze próby dziennikarskie i chyba też pisał wiersze, kto ich nie pisał w takim, jak my wieku, ale on miał jakieś zadatki. Był więc najbliższy z nas, tego świata ludzi publi-

kujących, który wydawał się mi Olimpem, a towarzystwo tam się pojawiające wyższym sortem ludzkości. Pomysł zrobienia gazety obiecywał więc wejście na ścieżkę, która ku tym wyżynom wiodła i musiał wywołać u mnie po prostu entuzjazm. Myślę dziś, kiedy złażę w dół tej drabiny czasu, że podobny entuzjazm i nadzieja ogarnęły Andrzeja Wojtczaka, trochę waga-bundę, trochę chuligana, wegetującego w biednej rodzinie i jednopokojowym mieszkaniu z wszystkimi wygodami na podwórzu, nieudanego asnykowca, nawiewającego z domu w Polskę, jak tylko stopniały śniegi i wyraźnie utalentowanego literacko. Jego wprawki, to była proza z dróg, po których się włóczył. Blondyn, o wielkim łbie, przyplaszczonej twarzy, urodą dziś mi się kojarzy z Kirkiem Douglasem. Maniery miał szorstkie, ale kumpel był dobry i zapadł się gdzieś w życie po tym, jak minęła przygoda z uczniowską gazetą, a ja zdałem egzamin na Uniwersytet Warszawski.

Gazetę prawie przygotowaliśmy. Myśleliśmy, myśleliśmy, jak ją nazwać, aż wymyślił się „Berety”, niezbyt oryginalnie, ale nosiła wtedy młodzież licealna męska i żeńska te nakrycia głowy, stąd nazwa. Kiedy wiadomość o tym, że w Kaliszu pojawiła się grupa młodych narwańców, chcących wydawać pismo dotarła do Poznania, do Komitetu Wojewódzkiego ZMS, a może i Partii (Partii – tak się zawsze pisało, bo partia była jedna), towarzysze postawili uszy na znak czujności.

Rok był 1959. Dopiero co, w ślad za likwidacją „Po prostu”, polikwidowano niepokorne gazetki lokalne, w poznańskim były to Wyboje”, a tu wirus znów się pojawił, i to nieważne, że raczej wirusik, bo a nuż zacząłby wyrastać? Szansa na to była żadna, ale czujność wielka. Tak wielka, że do Kalisza wybrał się aż szef wojewódzkiego ZMS, wydaje mi się, że nazywał się Pawlak, żeby sprawę rozpoznać i „młodych towarzyszy” odpowiednio ustawić. Pamiętam tę rozmowę, choć już bez szczegółów. Była pełna pochwał, życzliwości i zrozumienia, inicjatywa, jak najbardziej słuszna, ale pomysł już nie za bardzo, może za wcześniej, może musi dojrzeć.

Dla nas, naiwnie rozentuzjasmowanych wydawaniem „Beretów”, widzących je już pachnące świeżą farbą drukarską, ta rozmowa była ciosem, załamaniem się gruntu pod nogami, bo od razu wiedzieliśmy, że nie ma dalej o czym gadać. Traktując nas jako młodych zapaleńców, naiwnych, nie rozumiejących polityki partii, ale ogólnie „dobrych towarzyszy”, zaproponowano na otarcie też, byśmy przygotowali całą kaliską kolumnę do „Walki Młodych”, tygodnika ZMS. Żeby zaś sprawę omówić na miejscu

zapropozowano nam wyjazd do Warszawy i spotkanie z samą redaktor naczelną tygodnika towarzyszką Felicją Rappaport. Dobrze było i to, bo cóż mogliśmy zrobić więcej?

I w ten sposób pewnego, okropnie mroźnego dnia ruszyliśmy niedo-grzanym pociągami do stolicy. Solidnie zmarznięci wylądowaliśmy na „Głównym”. Dworzec Centralny miał powstać kilkanaście lat później. Stolica powitała nas takim powiększonym barakiem, pachnącym potem podróży wymieszany z trudnymi do opisu zapachami PRL-owskiej dworcowej knajpy. Do redakcji mieszczącej się w Alejach Jerozolimskich dokładnie naprzeciw KC podjechaliśmy tramwajem, o drzwiach zasuwa-nych ręcznie, lecz rzadko zamykanych, bo zwykle wisały przy nich stojące na stopniach grupy pasażerów, tzw. winogrona. Po drodze miniliśmy dwie budowle socjalizmu, równie mocno wtedy propagowane: Pałac Kultury i Centralny Dom Towarowy, cedet, a dziś „Smyk”, wtedy flagowy sklep so-cjalistycznego handlu. To było jeszcze przed pojawieniem się samoobsłu-gi. Z rozmowy w redakcji nie zapamiętałem niczego, poza bardzo mglistym konturem naczelnej, chyba niskiej kobiety, o urodzie nie wybijającej się i patrząc na tę zamglona postać z dzisiejszej perspektywy, wyraźnie semic-kiej. Stało na tym, że przygotujemy materiały po które przyjedzie do Ka-lisza ktoś z redakcji. Wracaliśmy jeszcze bardziej zmrożeni, a na dodatek okrutnie głodni, bo w redakcji potraktowali nas herbatą, a na restaurację dworcową nie było nas stać. Więc z całej tej mojej pierwszej wyprawy do Miasta, które już wkrótce miało stać się moim miejscem zamieszkania, aż do dziś, zapamiętałem tylko zimno i burczenie w brzuchu.

Materiały przygotowaliśmy, jak należy i pewnego dnia zapukała po nie do Komitetu Miejskiego ZMS, gdzie mieliśmy siedzisko, obok Heńka Kup-czyka, młoda dziennikarka, ładna, szczupła blondynka. Nazywała się Kry-styna Miłotowska. Wkrótce po tym w „Walce Młodych” ukazała się kaliska kolumna, z której byliśmy dumni, bo jednak coś zrobiliśmy, chociaż to nie były „Berety”, ale łyzy nam obeszczyły. A jeszcze jakiś czas po tym usłysza-łem, ku memu zaskoczeniu Krystynę Miłotowską mówiącą do kraju przez Radio Wolna Europa. I po jakimś ćwierćwieczu, od jej przyjazdu do Kalisza spotkałem Panią Krystynę, już w sile wieku, w rozgłośni Monachijskiej, gdy zjawiłem się tam pierwszy raz po wyjeździe z Polski w roku 1982.

Nie wystarczyło mi zetemesowskie zaangażowanie. Zimą z 1959 na 1960 dowiedziałem się, że przy Komitecie Miejskim Partii (PZPR oczy-

wiście) działa tak zwany Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu Leninizmu (WUML) i że można się na niego zapisać, także już w trakcie semestru. To było to! Doskonały substytut studiów wyższych na okres przymusowej odsiadki w Kaliszu, bo to, że wrócę na studia nie podlegało dyskusji, choć ciągle nie wiedziałem na jakie. Na pewno nie na Politechnikę, tylko na coś humanistycznego, wedle wskazania starego hucuła z liceum Asnyka (nauczyciela geografii, który przestrzegał mnie przed pójściem na Politechnikę, twierdząc, że jestem humanistą, czego wtedy nie wiedziałem). WUML to było też antidotum, marne, bo marne, ale póki co skuteczne na poczucie degradacji, które mnie dopadło po politechnikowej kłęsce, podczas gdy inni, w tym moja niefortunna wybranka i jej zdobywca zdobywali wyższe ostrogi. Wreszcie WUML zbiegł się z moją młodzieńczą fascynacją marksizmem, którego już wcześniej liznąłem czytając jakąś przypadkowo trafioną książkę Adama Schaffa.

Głowę do tej fascynacji, na zasadzie, jak wspomniałem wyżej, „odbicia szajby” w drugą stronę wymościła mi Ona. Była bardzo wierząca, choć bez cienia dewocji, taką wiarą intelektualną, zakochana w książkach Mauriaca, które czytałem nudząc się przy nich okrutnie, no ale jak można było inaczej, skoro to Ona mi je dała. Zdała na KUL, na teologię. Więc gdy to wszystko się rąbnęło odleciałem na drugi skraj, ku ideologii ofensywnej, zdobywczej, stawiającej na nogi, a tego bardzo potrzebowałem.

Nie miałem pojęcia, że substytut stanie się drogowskazem i określi moją zawodową drogę na całe życie. Ale nie sam WUML to sprawił. W kursie był oczywiście wykład z podstaw materializmu historycznego i ekonomii politycznej. Wykład mnie zafascynował. Odkryłem, że jestem ekonomistą, wyklutem się zawodowo. Dopomógł temu wykładowca – profesor Wacław Wilczyński, który na wykłady do Kalisza dojeżdżał z rodzinnego Poznania.

Minęło ponad dwadzieścia lat, gdy moja droga, ponownie skrzyżowała się z Nim, dokładnie skrzyżowaliśmy pióra, „pisarskie szpady”. Rok był 1981, On zaatakował ostro ekspertów „Solidarności” za to, że podsycają rewindykacyjne, absurdałne w tamtym czasie żądania Związku, zamiast je temperować. Odrzuciłem w „Tygodniku Solidarność” bardzo ostro zarzuty profesora wytykając mu, że nie rozumie uwarunkowań w jakich działają eksperci, że nie mogą iść na zderzenie z ruchem, bo zostaną z niego wyrzuceni i zastąpieni bardziej radykalnymi itd. I znów minęła epoka, aż spotkaliśmy się oko w oko, pierwszy raz, na wigilijnym spotkaniu we „Wprost”,

którego byliśmy wtedy felietonistami. Powiedziałem profesorowi, że to On odkrył we mnie i dla mnie ekonomistę.

Ciągle jednak nie wiedziałem, gdzie ja będę tę ekonomiczną edukację pobierał, aż trafił w moje ręce na początku 1960 roku informator o studiach wyższych, a w nim odkryłem jedno, jedyne miejsce w Polsce, gdzie była ta poszukiwana krynica wiedzy. To był Wydział Ekonomii Politycznej Uniwersytetu Warszawskiego! Oj wysoko to była ulokowana krynica! Warszawę od Kalisza dzieliły wtedy lata świetlne. Poznań, Wrocław, Łódź to były trasy wędrówek kaliskich maturzystów po nauki. Ale Warszawa? Prawie nieosiągalne. Jednak się zawiąłem. Do głowy mi nie przychodziło, że mógłbym przegrać. Nie wyobrażałem sobie kolejnego roku w Kaliszu i w Skarbowym Urzędzie Komorniczym. Ciągnęło mnie w świat. Gdy przyszła pora złożyćtem papiery.

Ale dużo wcześniej zasiadłem do wkuwania materiału na egzaminy. Wydaje mi się, że były z historii, geografii i matematyki. Pamiętam tylko matematykę, dlatego, bo czułem, że to mój wrażliwy punkt. Postawiłem na rozwiązywanie zadań i równań. W ciągu kilku miesięcy przerobiłem ich chyba parę tysięcy, korzystając z kilku rosyjskich zbiorów zadań, zdobytych nie wiem już jak. Mogłem z nich korzystać dzięki niezłej znajomości rosyjskiego wyniesionej z liceum i zawdzięczanej wychowawczyni Wandzie Gorgoniowej, która potrafiła nas przekonać do nauki „wrażego”, ale i pięknego, melodyjnego języka (jest o Niej tutaj wspomnienie, w części „Publicystyka”). Ruszyłem do Warszawy obkuty na wszystkie możliwe sposoby. Przekraczałem bramę Uniwersytetu przy Krakowskim Przedmieściu, jakbym wchodził do świątyni. Było pięknie, wzruszająco, tym bardziej, że za sobą miałem szare miesiące za biurkiem w Powiatowej Radzie, a przed sobą szansę na nowy początek. Byłem na jego progu.

Waldemar Kuczyński

Fragment opowieści „Rodzina i Historia” – dotychczas po za stroną internetową autora niepublikowana.

Curriculum Vitae (fragment)

Życiorys ten dedykuję mojej żonie Halinie za 48 lat wspianego, wspólnego życia pełnego wzajemnej miłości. Wszystko zaczęło się w Bierutowicach, w marcu 1973 roku gdzie byłem na nartach i poznaliśmy się. Zakończyło 22 marca 2021 roku, gdy rozdzieliła nas śmierć. Myślę, że paradoksalnie po mojej śmierci znów będziemy razem, gdyż prochy moje zostaną złożone obok prochów Haliny w grobie rodzinnym na Powązkach Wojskowych w Warszawie.

Początek

Urodziłem się 19 listopada 1941 roku w Dobrzeczu wówczas wsi pod Kaliskiej, a obecnie dzielnicy Kalisza. Rodzice moi to tata Feliks (1912-2007) mistrz krawiecki, a mama Helena z domu Wielgosz (1919-1989) – gospodyni domowa. Miałem czworo rodzeństwa:

- najstarszy to brat Leszek (1939-2005);
- najmłodszy z braci Janusz (1945) – ukończył technikum budowy fortepianów w Kaliszu a później absolwent – inżynier, po technologii drewna w Wyższej Szkole Rolniczej w Poznaniu. Następnie dyrektor techniczny a później dyrektor naczelny fabryki fortepianów “Calisia”;

Moje siostry to:

- Grażyna (1949) – matka dwóch synów: Marcina i Adama absolwentów Politechniki Łódzkiej. Mieszka obecnie w Łodzi.
- Ewa (1956) – matka doktora habilitowanego, profesora Uniwersytetu Wrocławskiego Łukasza Johna, o którym mogliśmy przeczytać w numerze 84-85 „Kaliszan”.

Szkolę Podstawową nr 3 ukończyłam w 1955 roku, która znajdowała się wówczas nad klasztorem Ojców Franciszkanów, tuż obok fabryki cukierniczej „Mystkowskiego”. Miły zapach wypiekanych herbatników czuć było szczególnie przy wyjściu na przerwę na szkolne podwórko.

Po szkole podstawowej uczyłem się w I Liceum Ogólnokształcącym im. Adama Asnyka w latach 1955-1959 w klasie „c” z językiem niemieckim. Wychowawcą i ulubionym nauczycielem był matematyk i germanista Franciszek Zaremba.

W trakcie nauki w Asnyku zarówno ja jak i mój przyjaciel Kazimierz Matusiak uczyliśmy się gry na wiolonczeli w szkole muzycznej u profesora Walkiewiczza. Żaden z nas nie został profesjonalnym muzykiem. Jednak

wiedza wyniesiona ze szkoły muzycznej pozwoliła na lepsze zrozumienie muzyki – klasycznej i jazzu. Ten flirt z muzyką trwa do dzisiaj, a słuchania koncertów w filharmonii lub Sali Kongresowej było ulubionym zajęciem Haliny i moim.

W tej sali odbywały się koncerty „Jazz Jamboree”, występowali Beattlesi, Marlena Dietrich, Montserrat Cavalier i czy inni znakomici artyści. Ostatni koncert w sali Kongresowej odbył się z okazji uzyskania nagrody Grammy dla Włodka Pawlika za płytę „Night Calisia”, na którym byliśmy razem z Haliną. Remont Sali Kongresowej trwa do dzisiaj a jej brak jest szczególnie odczuwalny. Być może sytuacja ta ulegnie poprawie po wybudowaniu sali koncertowej na terenie dawnego wydziału weterynarii SGGW przy ul. Grochowskiej na Pradze Południe, przyznanym orkiestrze Symfonia Varsovia. Póki co, jak obserwuję, trwają tam intensywne prace remontowo-budowlane.

Po zdaniu matury 1959 roku wstąpiłem na Wydział Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej wychodząc z założenia, iż ludzie zawsze będą potrzebowali żywności. Studia ukończyłem w 1964 roku. Pracę dyplomową magisterską pod tytułem „Otrzymywanie undecylenianu i oleinianu askorbinyli-3 oraz badanie ich wpływu przeciwutleniającego” wykonałem w Katedrze Technologii Odżywek i Koncentratów Witaminowych Politechniki Łódzkiej pod kierownictwem doc. dr J. Kuleszy. Opiekunem pracy był adiunkt dr J. Jeszka.

W trakcie studiów uzyskałem stypendium fundowane z Kaliskiej Fabryki Koncentratów Spożywczych „Winiary”. W Winiarach pracowałem w latach 1964-1965. W roku 1965 ze względów osobistych przeniósłem się do Warszawy. Jako młody inżynier nie chciałem iść do pracy biurowej w Zjednoczeniu Koncentratów Spożywczych. Zdecydowałem się pójść na kurs ekspertów kryminalistycznych, zatrudniając się jednocześnie w Wojewódzkim Laboratorium Kryminalistycznym w Warszawie. Po ukończeniu kursu w 1966 roku pracowałem jako ekspert chemii w Laboratorium, gdzie najwięcej było ekspertyz z zakresu szerzącego się w tym okresie bimbrownictwa. Wykonywałem również innego rodzaju ekspertyzy pod nadzorem doświadczonych pracowników Zakładu Kryminalistyki KG MO. Należało wykonać około 100 różnego rodzaju ekspertyz oraz zdać egzamin by uzyskać prawo ich samodzielnego podpisywania. Uzyskanie takiego prawa pozwalało na występowanie w sądach jako biegły.

W marcu 1973 roku będąc na nartach w Bierutowicach poznałem przyszłą żonę Halinę Glozę, młodą panią architekt. Już 30 czerwca tego roku zostaliśmy małżeństwem. Żona pracowała w Instytucie Kształtowania Środowiska i do annatów rodzinnych przeszła opowieść jak udała się do kadry by zgłosić, że po ślubie przyjęła nazwisko Gloza-Musiał. Wtedy kierownik, notabene ojciec jej przyjaciółki, zapytał się dowcipnie: Pani chciała czy musiała? Śpieszę wyjaśnić, iż nasza ukochana córka Magdalena urodziła się 22 marca 1975 roku czyli dwa lata po naszym poznaniu. Z moją wspólną żoną przeżyliśmy wspólnie 48 lat.

Doczekaliśmy się wnuczki Hani oraz wnuka Mateusza. Rozdzieliła nas jej śmierć 22 marca 2021 roku, w dniu urodzin córki. Ja leżałem wtedy z covidem w szpitalu na Szaserów a ona zmarła w domu, schorowana po udarze. 12 kwietnia 2021 roku została pochowana w grobie rodzinnym na Powązkach Wojskowych.

Niestety drugi cios dotknął nas wkrótce po śmierci żony gdy okazało się że wnuczka Hania zachorowała na cukrzycę pierwszego typu. Wymaga to podawania insuliny przez pompę insulinową i nadzorowania podawanych dawek w zależności od zjedzonych posiłków. Jest to dla mojej córki bardzo absorbujące. Wymaga choćby wstawania w środku nocy by sprawdzać czy nie dzieje się coś złego z poziomem cukru i odpowiednio zareagować.

Aktualnie jestem pełnoetatowym dziadkiem. Codziennie wożę wnuczkę do szkoły a wnuka do przedszkola i odbieram po zajęciach. Mam też swoje małe przyjemności. – Jestem zapalonym brydżystą i mogę się pochwalić uzyskaniem rankingu Mistrza Krajowego (WK-4).

Praca zawodowa

W 1975 roku nastąpiły zmiany administracyjne w naszym kraju, między innymi powstało województwo Kaliskie. Pracownicy Wojewódzkiego Laboratorium Kryminalistycznego w Warszawie mogli przejść do pracy na kierownicze stanowiska do nowych miast wojewódzkich: Płocka, Ostrołęki, Ciechanowa, Radomia. Ci którzy nie wyrazili takiej zgody zostali odgórnym rozkazem skierowani do pracy w laboratorium Komendy Stołecznej w Warszawie. Ja w Stołecznej pracowałam do grudnia 1975 roku i następnie w ramach awansu zostałam przeniesione do pracy w Zakładzie Kryminalistyki Komendy Głównej MO w Warszawie Aleje Ujazdowskie 7. W Zakładzie Kryminalistyki zajmowałam się pożarami i wybuchami oraz

nadzorowałem ekspertów chemii zajmujących się tą problematyką w wojewódzkich laboratoriach kryminalistycznych.

Należy podkreślić iż Wydział Fizykochemii zakładu, wyposażony był w tym czasie w dobrą aparaturę badawczą, porównywalną z renomowanymi uczelniami Uniwersyteckimi czy Politechnikami.

W wydziale zatrudnieni byli konsultanci naukowci, choćby profesor doktor Andrzej Szuchnik, chemik z Uniwersytetu Warszawskiego, czy dr Juliusz Czakov specjalista od spektrografii. W związku z powyższym w wydziale wykonywane były tak zwane „częściówki”, zlecane przez ekspertów z Laboratoriów Wojewódzkich w postaci różnych próbek materiałów czy wykonywanych przez nich ekstraktów. Przeprowadzone w zakładzie badania przekazywane były do zlecających, a ich wyniki służyły do opracowania końcowej ekspertyzy.

Wybuch w Rotundzie PKO

W trakcie pracy w Zakładzie Kryminalistyki KGMO miało miejsce szereg ważnych zdarzeń, w których brali udział eksperci Wydziału Fizykochemii. Do najbardziej tragicznych należał wybuch gazu w Rotundzie PKO położonej na skrzyżowaniu ulic Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi. Wybuch miał miejsce 15 lutego 1979 roku o godzinie 12:37, w wyniku którego



zginęło 49 osób. W momencie wybuchu w budynku znajdowało się około 170 pracowników i 300 klientów. Widok po wybuchu był przerażający! Wszędzie rozrzucone były rozkawałkowane części ludzkich ciał wśród których fruwały banknoty. Teren następnie został zabezpieczony przez funkcjonariuszy milicji z Komendy Stołecznej a przepływ gazu w rurociągu przebiegającym w pobliżu rotundy został zamknięty.

Fakt, że w samym budynku Rotundy nie był zainstalowany gaz spowodował, iż pracę ekspertów kryminalistyki zostały ukierunkowane na ustalenie skąd i w jaki sposób gaz przedostał się do wnętrza Rotundy. Budynek Rotundy postawiony był na gruzach po II Wojnie Światowej a teren wokół niego był zaasfaltowany. W wyniku przeprowadzonych oględzin i późniejszych badań ustalono następujący przebieg zdarzenia. W pobliżu Rotundy przebiegał rurociąg średnioprężny gazu, wykonany z rur stalowych, na którym na wysokości ówczesnego gmachu Uniwersalu zamontowany był zawór w obudowie żeliwnej. Sytuację sprzed wybuchu pokazuje poniższa plansza.

Pęknięcie korpusu zaworu spowodowało wypływ gazu, który ze względu na asfalt wokół Rotundy i panujące od kilku dni mrozy nie mógł wydostać się do atmosfery. Gaz penetrował w ziemi z gruzem i poprzez rezerwowe przelotki telekomunikacyjne napłynął do podziemia Rotundy, gdzie po utworzeniu się odpowiedniego stężenia doszło do wybuchu.

Pomiar gazu aparatem Drögera na gaz ziemny przez ekspertów kryminalistyki przy rezerwowych otworach telekomunikacyjnych znajdujących się w pomieszczeniach piwnicznych któreśy gaz dotarł do wnętrza Rotundy.

Wyniki tych wstępnych badań zostały potwierdzone, następnie przez przywieziony z Zakładu Kryminalistyki eksplozometr.

Cdn.



Aparat Drögera

Andrzej Musiał

rocznice, rocznice...

Chór Polonia w Warszawie – 30 lat działalności

Zaprzyjaźniony chór. Gościliśmy Go na kilku naszych uroczystościach. Niepowtarzalny wykonawca wielu znanych utworów muzyki klasycznej, utworów sakralnych, patriotycznych, a także ludowych i rozrywkowych, w tym m.in. naszego hymnu „My Kaliszanie” – ozdoba tych uroczystości – nasz „młodszy” przyjaciel.

Piszę „młodszy”, bo My Kaliszanie w 2024 roku obchodzimy 35-lecie, a Chór jak widać „dopiero” trzydziestkę.

Jubileusz Trzydziestolecia Chóru Polonia obchodzony był uroczystie 2 grudnia 2023 roku galowym koncertem w Kościele Parafialnym św. Jakuba Apostoła przy Placu Narutowicza w Warszawie.

Chór brawurowo wykonał kilka poważnych i dostojnych utworów muzyki sakralnej, (przy profesjonalnym akompaniamencie kościelnego organisty), odpowiednich dla rangi Jubileuszu i obecności w kościele, po czym nastąpiła przerwa na przemówienia, gratulacje i życzenia.

Przedstawiciel Chóru Pan Roman Bedyński (doświadczony śpiewak w wielu chórach – 70 lat, nie wieku – występów!), w krótkim i zwięzłym, trochę żartobliwym wystąpieniu zaprezentował bogatą historię i statystykę Chóru. Przedstawił także słuchaczom sylwetkę obecnego (od ponad 10 lat!) dyrygenta Maestro Zbigniewa Szablewskiego – bardzo wymagającego, ale lubianego i podziwianego mistrza dyrygentury.

Chórowi prezesuje nasza długoletnia przyjaciółka Barbara Żbikowska, a sprawy kronikarskie skrupulatnie prowadzi Teresa Tykarska.

Na ręce Kierownictwa Chóru, oprócz serdecznych życzeń, goście składali wiązanki kwiatów, upominki, oraz podziękowania.

Wśród zaproszonych gości byliśmy również i My Kaliszanie reprezentowani przez członków zarządu Klubu Jadwigę Sarnecką i piszącego te słowa Andrzeja Dębowego. Dyrekcję Mazowieckiego Instytutu Kultury reprezentowała Elżbieta Krzewska.

W imieniu naszego stowarzyszenia złożyłem serdeczne gratulacje dla Jubilatów, życzenia dalszej, owocnej pracy na niwie krzewienia i utwa-



Chór Polonia

lania historycznych utworów muzyki poważnej, ich oryginalnych wykonań oraz poszukiwania ich współczesnych interpretacji, również utworów o lżejszym charakterze.

Życzyliśmy też wszelkiej pomyślności wszystkim członkom chóru w działalności muzycznej i w życiu osobistym. Nasze życzenia i gratulacje w połączeniu ze skromnym upominkiem i wiązanką kwiatów nagrodzono gromkimi oklaskami.

Nastąpiła druga część koncertu jeszcze wspanialsza od pierwszej, oficjalnej, za co zespół ponownie nagrodzono rześystymi brawami.

Po koncercie w kościele głównym zaproszono wszystkich Gości do dużej sali w pobliskim domu parafialnym, gdzie była okazja spotkać się w luźniejszej, wręcz familiarnej atmosferze. Była okazja do rozmów i dyskusji. Snuto plany na przyszłość i oczywiście nie obyło się bez ponownych gratulacji i życzeń, już mniej oficjalnych i bardziej osobistych. Wszystko to przy wspianiałym, obfitym poczęstunku najlepszymi słodkościami. Nie obyło się oczywiście bez wspianiałego, jubileuszowego i „płonącego” tortu, (którego, na prośbę Pani Prezes – dostałem zaszczytu krojenia wielkim nożem). Przyjacielskim pogwarkom nie było końca...

Andrzej Dębowy

Warszawa, grudzień 2023 r.

dr n. med. Paweł Białożyk

Bydgoszcz, 11 grudnia 2023 roku.

Szanowny Pan

dr Bogdan Bładowski

Prezes Klubu Kaliszan w Warszawie

Na ręce Pana Prezesa i Zarządu
składam wszystkim członkom Klubu Kaliszan w Warszawie
życzenia zdrowych, radosnych Świąt Bożego Narodzenia
oraz samych szczęśliwych zdarzeń w nadchodzącym
Nowym 2024 Roku.

Pomyślnego i owocnego koleżeńkiego działania życzę także Klubowi,
który od lat podziwiam jako stowarzyszenie spajające nie tylko warszawskich
Kaliszan, ale też Tych co częścią serca, jak Wy Koleżanki i Koledzy, pozostali
w rodzinnym Kaliszu, mimo że rozproszyli się po Polsce i Świecie.

I chociaż nie mogą cieszyć się tak wspaniałym klubem z wieloletnią tradycją,
to życzliwie mu kibicują i czytają Wasze wydawnictwa. W codziennym zaś
życiu i pracy starają się godnie prezentować wartości jakie wynieśli
z rodzinnego miasta młodości, podkreślając zawsze z dumą skąd pochodzą.
Dziękuję za nadesłane życzenia, Szczęśliwego Nowego Roku!

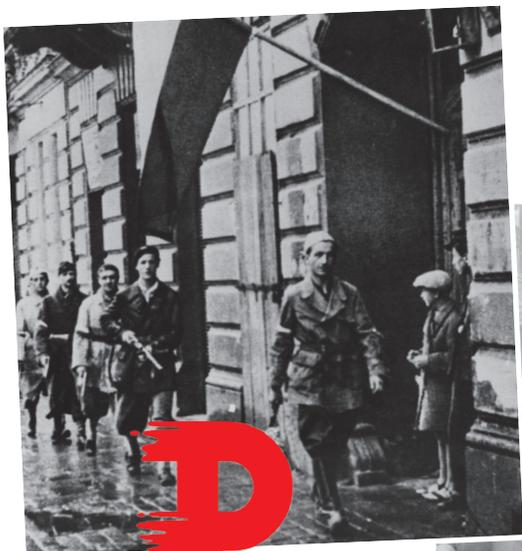
Z szacunkiem i serdecznym pozdrowieniem,

Paweł Białożyk

Asnykowiec, matura 1977



80. ROCZNICA WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO



1944-2024



Stefan Konrad Śmigielski (1921–1990)

Stefan urodził się 11 marca 1921 r. w Sosnowcu, skąd jako kilkuletni chłopiec ze swoimi rodzicami, Marianem i Janiną z d. Strzelczyk, przybył do Kalisza. Ukończył tutaj szkołę powszechną i Gimnazjum im. A. Asnyka.

Już na początku okupacji hitlerowskiej Stefan związał się z miejscową konspiracją, którą jednakże dosięgły rychło ciężkie ciosy gestapo; gdy i na Jego trop wpadło, zdołał „ewakuować się”, jak opowiadał, do Warszawy, gdzie podjął pracę robotnika w niemieckiej firmie i niebawem wstąpił do oddziału sabotażowo-dywersyjnego „Spec Związku Syndykalistów Polskich, uczestnicząc następnie w kilku akcjach bojowych Oddziałów Szturmowych „ZEW”. Oddziały wojskowe ZSP wcielone zostały w 1943 r. do Armii Krajowej; jako Zgrupowanie Róg” toczyły zażarte i krwawe boje w obronie Starego Miasta. Zastępowaną chwałą okryła się 104 Kompania Syndykalistów, w której Stefan Śmigielski, jako kapral podchorąży „Sielski” 3 plutonu, dał liczne dowody męstwa i poświęcenia, biorąc udział m.in. w zdobyciu Pałacu Krasieńskich, walkach o Katedrę św. Jana i Kanonię oraz Zamek Królewski. Odznaczony został Krzyżem Walecznych. Ciężko ranny 1 września, po upadku Powstania dostaje się do niewoli, jednakże ucieka z transportu do obozu.

Wyzwolenie zastaje Stefana w Łowiczu, skąd powraca do Kalisza; po ukończeniu Liceum im. T. Kościuszki, wstępuje na Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej, uzyskując w 1952 r. dyplom magistra inżyniera. Zawiera małżeństwo z Kazimierą Marią Gordon, z którą ma córkę Teresę Marię i Annę Marię; pierwsza jest farmaceutką, a druga architektem. Stefan pracuje w stołecznych biurach projektowych, rozwija swoje uzdolnienia architektoniczne, uhonorowane Nagrodą Państwową. Prawdziwym talentem zabłysnął podczas kilkuletniej pracy w Iraku, gdzie projektował m.in. nowe miasto Al Oain. Drugą Jego pasją było gromadzenie materiałów do przygotowywanej książki „Na barykadach Starówki”, której wydania (1992 r.) niestety nie doczekał. Był od początku członkiem naszego Klubu. Zmarł 16 września 1990 r. i pochowany został na Cmentarzu Powązkowskim. Oprócz Rodziny, towarzyszy broni, także Kaliszanie pochylili głowy nad Jego trumną.

Bogdan Bładowski

Kaliszanie w Warszawie Nr 4, kwiecień 1993 str. 40

Z nad Prosny, przez Wartę i Morze Chińskie nad Wisłę

z Janem Żardeckim rozmawia Jan Werner

Jan Werner: Redaktor „Kaliszan w Warszawie” polecił mi zbadać jak to się stało, że – niewątpliwy rodak z Kalisza – jesteś od dawna stałym mieszkańcem Warszawy?

Jan Żardecki: Rodzina moja osiadła w Kaliszu przed I wojną światową. Ojciec był adwokatem, matka zaś początkowo nauczycielką, potem społeczniczką. Nasza rodzina, to było pięć osób: rodzice oraz trzech braci. Najstarszy, Stanisław, urodził się w Kaliszu, my, to jest bliźniacy: Andrzej i ja, przyszliśmy na świat na emigracji nad Wołgą, dokąd po pruskim bombardowaniu Kalisza (w 1914 roku) wyjechał ojciec z żoną i pierworodnym. Powrót do Kalisza całej piątki nastąpił w 1919 r. Ojciec powrócił też do adwokatury, a trójka synów uczęszczała do gimnazjum im. A. Asnyka. Tylko najstarszy Staś, przeniósł się na ostatnie dwa lata do gimnazjum T. Kościuszki.

I dlatego służbę wojskową odbył w podchorążówce artylerii?

Tak. Ja zaś dostałem maturę u „Asnyka” w 1936 roku i zacząłem jak bracia studia na Uniwersytecie Poznańskim. Najpierw na chemii, a po roku na medycynie. Staś został magistrem chemii, Andrzej prawa.

Kolegowałem się z wami wszystkimi u „Asnyka”...

Doskonale to pamiętam. Choć różnica paru lat, a więc i klas szkolnych nie sprzyjała, zdawało by się zbliżeniu, wiele nas łączyło. Przyjechałeś, urodzony Kaliszanin, do rodzinnego miasta dopiero na ostatnie lata szkoły średniej i przyniosłeś stołeczne doświadczenie harcerskie. A jako drużynowy harcerzy wyciągałeś asnykowską drużynę z niejakej ospałości i bezruchu.

Z waszą pomocą i współdziałaniem. To Wy obejmowaliście po moim wyjeździe na studia stanowiska drużynowego czy przybocznych.

Po wspólnych wycieczkach i obozach, braliśmy niebawem udział w krajowych Złotach Harcerskich, a także wyjeżdżaliśmy jako reprezentacyjna drużyna Chorągwi Łódzkiej na międzynarodowe Złoty Skautów, np. Słowiański Złot w Pradze czeskiej, czy Światowym Jamboree w Budapeszcie.

Czynni byliśmy także w samopomocy szkolnej, Kole Literacko-Naukowym „KALINA”, w redakcjach naszych pism uczniowskich...

Co wspominaliśmy już na tych łamach.

Wrzesień 1939 r. zastał Stasia i mnie już jako ludzi samodzielnych. Zostaliśmy zmobilizowani i uczestniczyliśmy w walkach września 1939. W z Andrzejem kończ Miście Uniwersytet i ominęła was mobilizacja.

Byliśmy wówczas na wakacjach w Kaliszu. Ojciec obserwując exodus mieszkańców Ostrowa przez Kalisz, zdecydował również o naszym wyjeździe do rodziny w Łodzi. Tam właśnie ogłoszono zaciąg ochotników do wojska. Rano, 3 września, zgłosiliśmy się z Andrzejem oraz naszym bratem ciotecznym Bogdanem Olędzkim. Nad grupą około dwóch tysięcy mężczyzn objął dowództwo jakiś na wpół umundurowany oficer rezerwy. Ze sztandarem Związku Oficerów Rezerwy wymaszerowaliśmy z Łodzi w kierunku Warszawy. Wobec zatarasowania szosy, poruszaliśmy się drogami polnymi, co nie uchroniło nas przed nalotami hitlerowskimi. Proponowaliśmy dowódcy rozczłonkowanie na mniejsze oddziały, by łatwiej kryć się przed nalotami, ale nie przekonaliśmy go. Kolumna rozczłonkowała się sama, bo naloty trwały, a marsz dzienny był kontynuowany. Mijaliśmy Skierniewice już tylko we trzech kuzynów, inni ochotnicy posuwali się również, tylko małymi grupkami. Do Warszawy dobrnęliśmy 6 września. Bez zaopatrzenia w żywność i przy skąpych zasobach finansowych, zaczęliśmy szukać znajomych, by prosić ich o pomoc. Szczególnie pomyślnym trafem było spotkanie znajomego Kaliszanina, P. Marszela (ojca powojennej znakomitej estradzystki Barbary Marsze! z „Podwieczorków przy mikrofonie”). Pan M. był dyrektorem fabryki cukrów i czekolady „Fuch” i w lokalu fabrycznym zostaliśmy nie tylko poczęstowani ogromną tacą słodczy, ale każdy otrzymał parokilogramową paczkę czekolady. Niestety, kiedy przynieśliśmy to na naszą kwaterę i potem wyszliśmy z niej do jakiś ówczesnych zajęć, niespodziany i silny nalot hitlerowski zburzył dom i gruzu przysypały nasze słodkie zasoby.

Kiedy radio ogłosiło pobór ochotników w koszarach przy ulicy Podchorążych, oczywiście zgłosiliśmy się tam i otrzymaliśmy rozkaz wyjazdu następnego dnia rano. Na noc zostaliśmy zwolnieni do domu po ewentualne rzeczy osobiste. Po drodze spotkaliśmy u pani Burawskiej, którą chcieliśmy pożegnać, jej znajomego, pułkownika za sztabu Obrony Warszawy. Ten oświadczył, że „szkoda nas na prostych ochotników” i polecił na drugi dzień zgłosić się do Okrąglaka przy ulicy Królewskiej, gdzie dostaniemy

rozkazy wyjazdu do podchorążówki we Lwowie. Nazajutrz przyjmując nas pułkownik stwierdził, że Warszawa jest już otoczona i wyjazd do Lwowa nieaktualny. A gdy popędziliśmy do koszar, zastaliśmy je już puste. Przeżyliśmy oblężenie Warszawy, biorąc udział w „Samopomocy Kaliszan”, zorganizowanej przez dr Michała Świderskiego. Zbierała ona między innymi żywność rozdzielaną między Kaliszan, którzy przybyli do stolicy i znaleźli w tej akcji jedyne nieraz źródło pomocy i przetrwania. W mniej więcej tydzień po wkroczeniu wojsk okupacyjnych, zajmujących po kapitulacji Warszawę, zbudzeni zostaliśmy na naszej kwaterze przez dr Stanisława Stawowiaka, kolegę ze studiów w Poznaniu.

– Wstawać, pobudka, jedziemy do domu!

Okazało się, że przed domem stoi już wynajęta przez niego dorożka. Dotarliśmy nią aż do ... Pruszkowa, gdzie przenocowaliśmy u jakiegoś uczynnego kolejarza. Nazajutrz, ulokował on nas w wagonie towarowym pociągu jadącego do Poznania, przez Łódź. Stawowiak pojechał do Poznania, my wysiedliśmy w Łodzi i odnaleźliśmy rodzinę. Okazało się że rodzice dotarli w swej tułaczce do Lublina, skąd – straciwszy samochód i ruchome mienie, powrócili do Łodzi. Krótco po naszym pojawieniu się w Łodzi, rodzice postanowili wrócić do Kalisza. Jednak jako Polacy, zostali przez okupanta osadzeni w obozie, mieszczącym się w klasztorze o. jezuitów. Brat Andrzej, na wieść o tym pojechał do Kalisza, by interweniować, ale dowiedział się, że „tu nie ma miejsca dla Polaków”. W odpowiedzi na to zaimprovizował hitlerowskiemu majorowi: „Aber meine Grassmutter war Lange geboren!” („ale moja babka była z domu Lange”) i po tym pokerowym zagraniu, zwolnienie dla starszych państwa uzyskał. Wrócili więc ponownie do Łodzi. Andrzej na prośbę zaprzyjaźnionej rodziny kaliskiej udał się do Warszawy w poszukiwaniu ich zaginionej córki. Znalazł ją, ale jednocześnie spotkał moją koleżankę – medyczkę, w której się kochał. Wybrali się więc oboje pod Częstochowę do jej rodziców i pobrali się. Ja natomiast w Łodzi, jako student medycyny zgłosiłem się do szpitala, gdzie przebywali między innymi polscy ranni żołnierze Września i pracowałem tam do połowy grudnia 1939 r. W tym czasie rodzina nasza zjechała się do Łodzi na imieniny mego ojca. Andrzej z żoną wrócili potem do Natalina i Klepanki, dwóch fabryk kartonu – własności Andrzejewego teścia i zabrali mnie ze sobą. Moja wizyta przedłużyła się o tyle, że zbliżyliśmy się z siostrą Andrzejewej żony i w sierpniu 1940 r. pobraliśmy się i my. Fabryki pracowały pod kierunkiem tzw. Treuhaendera, czyli powier-

nika władz okupacyjnych, ale nasz teść był jeszcze w ich zarządzie. Ja zaś pracowałem jako robotnik, poznając zasady produkcji. Ponieważ okupanci coraz nieprzychylniej patrzyli na Polaków, trzeba było jednak z stamtąd uciekać za granice terenów przez Niemcy wcielonych do Rzeszy. Przenieśliśmy się więc całą rodziną do wsi Mirów, leżącej 20 kilometrów już za granicą, więc w „Generalnej Guberni”. Wprowadziliśmy się do zakupionego przez teścia wiejskiego domu z ogródkiem i wydzierżawiliśmy 3 hektary ziemi, którą uprawialiśmy pod kierunkiem miłośniczki rolnictwa – teściowej. Ja w Kenkarcie podałem nawet zawód „Bauer” czyli rolnik. Wkrótce zostaliśmy z żoną rodzicami naszej pierworodnej. Pojawił się też teść, którego okupanci wysiedlili z fabryki. W 1942 roku żona zachorowała niebezpiecznie i została przewieziona do Warszawy, a ja jej towarzyszyłem. Po wyleczeniu zostaliśmy już w Warszawie. Czas gospodarowania na roli – przynajmniej dla nas obojga skończył się. – Rodzina wiązała się w czasie okupacji z handlem papeterią wszelkiego rodzaju. Prowadziła też sklep papierniczy w Warszawie na ulicy Świętokrzyskiej. Tam pracowałem jako subiekt przez parę miesięcy. Jednak pierwotne ciągoty do medycyny odżyły. Podjąłem więc pracę w laboratorium analitycznym szpitala Wolskiego, przy ulicy Płockiej. Kierownikiem tego laboratorium był prof. Uniwersytetu Poznańskiego – Zeyland. Pracę tą przerwało Powstanie Warszawskie.

Pierwszy sierpnia jest rocznicą mego ślubu. Rano tego dnia stanąłem jak zwykle do pracy. Profesor oświadczył personelowi, że dziś „coś nastąpi” i prosił byśmy po zakończeniu pracy nie opuszczali szpitala. Zgodził się jednak na moją prośbę o zwolnienie na obiad o pierwszej w południe, związany z ważną rocznicą rodzinną, pod warunkiem, że zaraz powrócę do szpitala.

O pierwszej w południe wyszedłem ze szpitala na Płockiej i zacząłem marsz na ul. Szustra na Mokotowie. Komunikacja tramwajowa bowiem już nie działała. Były za to częste naloty ze wschodu na miasto i patrole niemieckie nakazywały przechodniom kryć się w bramach. Dostałem się więc do domu już po czwartej i zanim zjadłem obiad, wybuchło powstanie. O powrocie do szpitala nie było mowy. Niemcy tymczasem zajęli szpital i z miejsca rozstrzelali personel i pacjentów. Tak rocznicowy obiad uratował mi życie.

Zgłosiłem się do szpitala Elżbietanek przy ul. Goszczyńskiego, gdzie uzyskałem aprobatę „płk Gozdawy” (prof. Lohta) i polecenie zgłoszenia się nazajutrz. Przyszedłem ... już do ruin zbombardowanego w nocy szpitala. Przenieśliśmy to, co dało się uratować do innego lokalu, który wkrótce też

uległ bombom. Sam prof. Loth, zginął w gruzach własnego mieszkania, dokąd wstąpił na chwilę ...

Nie miałeś szczęścia w tych umawianych „na jutro” spotkaniach ...

To też do końca powstania pomagałem jeszcze tylko z zaopatrywaniu w żywność i inne potrzebne rzeczy z Dolnego Mokotowa na Górny. Mokołów padł 27 września. Z żoną, dzieckiem i rodzicami wyprowadzeni zostaliśmy z ulicy Szustra i doprowadzono nas do Pruszkowa. W ogólnym zamieszaniu w czasie rozdziału brańców na roboty przymusowe, udało nam się uniknąć transportu i dostaliśmy się wraz ze zwalnianymi mieszkańcami osiedli podstołecznych do Milanówka.

Tak. Trzeba było jakoś się urządzić. Pomogło w tym odnowienie kontaktu z papiernikami. Z Częstochowy i Krakowa sprowadzaliśmy ich towar do Milanówka, skąd łatwo rozchodził się po okolicy. Furmankami i chłopskimi wozami transportowaliśmy go do Błonia i Sochaczewa, a największym powodzeniem cieszyły się rolki papieru toaletowego. Po Nowym Roku wyjechałem ciężarówką do Częstochowy po partię towaru. Było to 11 stycznia 1945 roku. Po południu załadowaliśmy samochód na jutrzejszy powrót do Milanówka. Nazajutrz ruszył ogromnej szerokości front wschodni i ogarnął Częstochowę.

Nie jest łatwo cywilnej ciężarówce w terenie, którym posuwa się wielka ofensywa.

To też w ogólnym zamieszaniu rozszabrowano mi samochód. Ale spotkałem niespodziewanie kuzyna Dankę Olędzkiego. Gdy okazało się, że front szybko przesuwają się na zachód, bez możliwości powrotu okupanta, obaj udaliśmy się pieszo do rodzinnych fabryk kartonu (nie było to daleko), dokąd dotarły polskie Grupy Operacyjne. Od obu urzędów w powiatach, wprawdzie sąsiadujących, ale niezależnych, uzyskałem po zgłoszeniu się upoważnienie do objęcia zakładów i wezwanie do wszystkich polskich agencji rządowych, by pomogły w uruchomieniu i gospodarowaniu fabrykami.

Per saldo wiec, wyprawa do Milanówka przyniosła raczej zysk?

Ale również nowe przygody. Jakiś niemiecki zabłąkany oddział otarł się o jedną z fabryk. Ulokowani u nas milicjanci chcieli walczyć z nimi przy pomocy posiadanych paru strzelb, ale udało mi się wcześniej zawiadomić o sytuacji oddział radziecki z pobliskiego Poraju. Oddział przybył wraz z czołgiem i pogonił Niemców, którzy jak się okazało zamierzali przebijając się z zorganizowanego im kotła przez wojska prowadzące ofensywę. Wracający czołgiści zatrzymali się u nas. Zostali zapamiętani przez ostry spór

o zdobyczne zegarki niemieckie, ale finał odbył się podczas fabrycznego poczęstunku żołnierzy pełnymi po brzegi talerzami zupy jęczmiennej.

Tak więc udało się wam przeżyć wojnę.

Niestety nie wszystkim. Matka żony zginęła w czasie powstania na warszawskim Żoliborzu. Starszy brat Stanisław zginął w Starobielsku ...

A mój Jerzy w Oświęcimiu ...

Sprawy materialne również nie szły prostą drogą. Teść uzyskał drogą sądową przywrócenie własności zakładów przemysłowych tylko przejściowo, bo mu po paru latach je odebrano. Ostateczna prywatyzacja dokonała się w latach dziewięćdziesiątych.

Ale Ty wreszcie znalazłeś się w Warszawie?

Tak. Tutaj też dokończyłem studia uniwersyteckie, z tym że była to już nie medycyna, lecz stomatologia, co było nieco łatwiejsze po wieloletniej przerwie w nauce i krócej trwało.

Jednak to była już meta w Warszawie na stałe?

Do pewnego stopnia. Po studiach był obowiązek przyjęcia na dwa lata nakazu pracy we wskazanym z góry miejscu. Przypadła mi mała miejscowość między Grójcem i Warką, dokąd trzeba było codziennie dojeżdżać 50 km koleją i 7 km końmi.

Ale przetrzymałeś to ostatecznie?

Kiedy chciałem zakończyć ten staż, skierowano mnie do ... Korei Północnej. Chciałem się z tego prawdę powiedziawszy wymigać, ale nie udało mi się. Dopiero po rocznym tam pobycie znalazłem się w Warszawie już na stałe. Podczas gdy w Korei, obsługując dwie prowadzone tam polskie budowy (ich polską załogę) przebywałem po dwa tygodnie nad morzem Chińskim i dwa nad Żółtym. Zresztą stały pobyt w stolicy uzyskałem nie od razu i nie bez trudności. Ostatecznie jednak pracowałem jako lekarz w przychodni, w akademickiej służbie zdrowia. Współorganizowałem wiele przychodni. Pracuję też jeszcze na półetacie, choć od 1981 r. jestem emerytem. Muszę powiedzieć, że środowisko Kaliszan w Warszawie, wielokrotnie i skutecznie pomagało mi pokonywać zdarzające się trudności.

Dziękuję Ci za rozmowę, z której można wyciągnąć wniosek, że „Habent sua fa ta curricula vitae”, czyli „różne są losy, zawarte w życiorysach”.

Rozmawiał: Jan Werner

Kaliszanie w Warszawie Nr 6, październik 1994 str. 12-19

Kaliszanie na barykadach Starówki

Z okazji 51 rocznicy Powstania Warszawskiego drukujemy wybrane fragmenty książki „Na barykadach Starówki” autorstwa naszego kolegi klubowego Stefana Śmigielskiego, zmarłego w 1990 r. (wspomnienie o Nim zamieściliśmy w nr. 4 Kwartalnika) bohaterskiego kaprała podchorążego „Sielskiego”, walczącego do końca w III plutonie 104 Kompanii Syndykalistów AK.

27 sierpnia – niedziela

Rankiem Niemcy zaatakowali energicznie pozycje powstańcze od strony Wybrzeża Gdańskiego i zdobyli budynki wschodniej strony Kanonii. Pierwsze patrole niemieckie przeniknęły do Katedry przed południem. Sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna. Zabytkowe kamieniczki wokół Katedry płonęły. W dymach i kurzu rozlegał się nieustanny grzechot broni palnej. Większość oddziałów 104 Kompanii wzięła udział w walkach w tym rejonie. Grupa zorientowała się, że w Katedrze są Niemcy, nie znała jednak ani liczebności ich oddziałów, ani tego, jak są rozmieszczeni. Prawa ściana Katedry była zrujnowana i widać było stojący pod Zamkiem czołg.

Około godz. 16-ej rusza natarcie na Katedrę od strony Kanonii. Dowodził por. „Szczerbera” z batalionu „Bończa”. Wybrano najbardziej sprawnych i najlepiej uzbrojonych żołnierzy. Aby osiągnąć mury Katedry, trzeba było przebiec pod niską, około 1,5-metrową barykadą, zamykającą wylot placyku Kanonii na ulicę Jezuicką, a następnie wskoczyć w okno zakrystii. Barykada i okno znajdowały się pod ostrzałem Niemców, obsadzających domy Kanonii od strony Wisły. Pierwszy z szeregu biegnących żołnierzy, wysoki przystojny sierżant z „Wigier”, pada i zwija się z bólu. Następny w kolejce strzelec „Leszek Królikowski”, mały wzrostem chłopak, rzuca granat w okno i wskakuje do Środka. Przebiegający następnie pod oknem „Teść” zostaje ranny w klatkę piersiową zapewne kulą dum-dum, bo wlot był mały, a rana wylotowa duża i poszarpana. Do zakrystii zdołało się przedostać kilkunastu żołnierzy. Strzelec „Leszek” rzuca następny granat w ciemności korytarza. Jednak dalej nie może się posuwać, bo uniemożliwia to krzyżowy ogień maszynowy Niemców.

Na podłodze korytarza, blisko zakrystii leży nieruchomo zabity lub ranny Niemiec. Z jednego z pomieszczeń korytarza rozlegają się polskie głosy. To kilku naszych chłopców zostało odciętych. Chcą się wydostać z pułapki. „Kaperski” z „Leszkiem” stają po obu stronach korytarza i strzelają po przekątnej. Przyduszają Niemców. Słychać szybki tupot. Uwolnieni chłopcy, którzy w czasie szturmego zagalopowali się najdalej w głąb Katedry witają się radośnie ze swoimi kolegami. Wtem coś huczącego i jasnego zalewa korytarz. To Niemcy użyli miotacza ognia. Chłopcy mają osmolone od żaru rzęsy i włosy. W kurzu i migoczących płomieniach widać wijącą się na podłodze postać.

Do Katedry wbiegają od strony Kanonii dalsi żołnierze, między innymi ze 104 Kompanii. „Żbik” dźwiga przejęty po rannym „Teściu” rkm. Widzą wysoki korytarz, przejście do kaplicy Chrystusa Ukrzyżowanego. Dołączają do załogi barykady obsadzonej przez poprzednią grupę. „Żbik” ze swego rkm-u „polewa” trochę na oślep wewnątrz świątyni. Koledzy wtórują mu z innych broni. Niemcy zaczynają odpowiadać. Robi się gorąco. W trakcie strzelaniny „Żbik” zostaje ranny w rękę, a rkm uszkodzony.

Połączone siły powstańcze złożone z „Bończy”, „Wigier” i 104 Kompanii późnym wieczorem oczyściły z Niemców nawę główną i pomieszczenia wokół zakrystii. Nie udało się zdobyć galeryjki łączącej Katedrę z Zamkiem.

31 sierpnia – czwartek

Por. „Kaperski” zorganizował z żołnierzy IV plutonu 20-osobowy oddział pod dowództwem por. „Makowskiego”. Zluzował on obsadzających dom profesorów żołnierzy II plutonu, którzy wrócili na kwatery na Świętojerską. Pchor. „Nałęcz” pozostawił „Makowskiemu” st. sierż. „Wesołego” Józef Pi-skorski) z kilkoma malcami oraz część amunicji, kilka granatów, butelki zapalające i ok. 20 naboju do mausera. „Ryś” wysłał łączniczkę „Murzynka” na barykadę na rogu Celnej i Jezuickiej dla zasięgnięcia języka. Barykada nie była przez nikogo obsadzona, bowiem w tym czasie, zgodnie z rozkazem „Kaperskiego”, „Sielski” z dwoma żołnierzami przeszedł już na barykadę zamykając ul. Jezuicką od Kanonii. Kiedy w godzinach rannych „Jordan” przyprowadził swoją grupę oraz gdy powróciły inne oddziały, biorące udział w akcji „przebiecia górą do Śródmieścia” – stanowiące stałą obsadę pozycji- „Ryś” ze swymi żołnierzami wrócił na Świętojerską. Tutaj sytuacja też nie była najlepsza. Odcinek ptn-zach. ppłk. „Radostawa”

Gan Mazurkiewicz) nie był obsadzony. Niemcy po opanowaniu ul. Sapieżyńskiej doszli do ul. Franciszkańskiej. W ten rejon (skrzyżowanie Koźlej i Franciszkańskiej) skierowane zostały patrole 104 Kompanii, złożone z żołnierzy I plutonu. Wychodząca do Niemców cywilna ludność, uniemożliwiła zbudowanie patrolom stanowisk obronnych. Około godziny 17.00 Niemcy zaatakowali ten rejon, lecz bez powodzenia. Patrole plut. pchor. „Małego” utrzymały pozycję. W tym czasie posterunki na ul. Koźlej, w pobliżu kwater, obsadzone były przez żołnierzy II plutonu.

Por. „Kaperski”, pamiętając swą nocną wizytę w kwaterze i beznadziejną sytuację naszych rannych, spowodowaną zagrożeniem coraz bliżej atakujących Niemców, zorganizował transport ciężko rannych, którzy nie byli przewidziani ze względu na swój stan zdrowia do przejścia kanałami, do centralnego szpitala na ul. Długą 7, sądząc, że będą tam mieli zapewnią lepszą opiekę, nie przeczuwając, że dla wielu z nich będzie to wyrok śmierci. Rannych przeniosła grupa jeńców pod nadzorem naszych sanitariuszek, eskortowana przez dwóch żołnierzy.

St. sierż. „Rys” zebrał wszystkich żołnierzy III plutonu, jacy znajdowali się na terenie kwater Kompanii i poszedł z nimi na Jezuicką. Była tu już grupa „Jordana” i reszta żołnierzy plutonu „Rysia”, która w nocy obsadzała budynki Rynku Starego Miasta od strony dziedzińca przy kościele oo. Jezuitów.

Dopiero w godzinach popołudniowych nieprzyjaciel przypuścił atak. Najpierw wyparł załogę przybudówki przy kościele oo. Jezuitów. Odbyło się to cicho, bez dłuższej strzelaniny, tak, że trzyosobowa placówka regulująca przejście z Katedry na dziedzińiec, dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że ma pod bokiem oddziały niemieckie, a nie powstańcze (ubiory nosiliśmy takie same). Niemcy zaczęli kryć ogniem bramę, z której było wejście do pokoju, gdzie znajdowała się trzyosobowa placówka i obrzucili ją granatami. Ostrzelali również żołnierzy III plutonu w budynku przy Jezuickiej 1 i 3, którzy po godzinnym ostrzeliwaniu się i wyczerpaniu amunicji wycofali się na ul. Jezuicką 4/6.

Trzyosobowa placówka porozumiała się przez okno z oddziałami powstańczymi, broniącymi domu przy Jezuickiej 2, ale ci chłopcy mieli swoje kłopoty. Na Kanoninę wjechał czołg, a za nim grupa Niemców, którzy zaatakowali ich pozycję, trzymając jednocześnie pod ogniem całą ulicę Jezuicką. Jednocześnie grupka Niemców próbowała przedostać się przez

wyłom w ścianie z przesmyku między katedrą a kościołem oo. Jezuitów na dziedzińcu, ale ostrzelana przez trzyosobową placówkę i obrzucona granatami wycofała się szybko.

„Murzynek” zajęła z kb pozycję przy oknie i pilnowała przejścia od Katedry, którym już raz próbowali się przedostać Niemcy, a „Sielski” polecił „Basiowi”, żeby sprowadził pomoc. Ostrzelał okno przybudówki, a w tym czasie „Baś” przebiegał bramę i dotarł szczęśliwie na Jezuicką 4/6. Ponieważ nie wracał, pozostała dwójka sądziła, że został zabity. W tej sytuacji, nie mogąc liczyć na żadną pomoc „Sielski” i „Murzynek” postanowili opuścić odciętą placówkę.

Najpierw próbowali obrzucić okna I piętra przybudówki, gdzie było najwięcej Niemców, granatami, ale nie doleciały one do celu, a odbijając się od nadpalonych tynków wznieciły tumany pyłu. „Sielski” postanowił to wykorzystać jako „zasłonę dymną”, ponieważ nieprzyjaciel nie mając dobrej widoczności jakiś czas po wybuchu nie strzelał.

„Murzynek” zachowała wyjątkową przytomność umysłu, zabierając z placówki osłonięte dla bezpieczeństwa granaty i amunicję. Po ponownym rzuceniu dwóch granatów (z których tylko jeden wybuchnął) oboje przebiegli bramę i tą samą drogą co „Baś” dotarli na Jezuicką 4/6. Żołnierze III plutonu do godzin wieczornych brali udział w obronie dalszego odcinka ul. Jezuickiej i około godz. 19.30 wrócili na Świętojską.

2 września – sobota

Nad ranem dowódca barykady na Długiej ppor. „Janusz” Michał Busłowicz zwolnił II pluton i zezwolił mu na odejście do kanałów. Rozkazał też zostawić im rkm. Klucząc wśród gruzów pluton doszedł do Miodowej przebiegł ulicę i dołączył w narożnym domu po przeciwnej stronie (Długa 17) do grup, oczekujących na wejście do kanału. Tutaj spotkali ppor. „Smagę”, opiekującego się rannym „Teściem”.

St. sierż. „Ryś”, który w nocy obsadził dom profesorów z połową III plutonu, ok. godz. 4.00 rano wysłał patrol na rozpoznanie, co dzieje się na sąsiednim terenie. Barykady na Jezuickiej i Świętojańskiej były puste i patrol nigdzie nie spotkał żadnego żołnierza. „Ryś” postanowił w tej sytuacji zwinąć posterunek w domu profesorów i przejść na plac Krasińskich. Przy ulicy Jezuickiej usłyszeli pracujący czołg i głosy Ukraińców, a przy narożniku ul. Świętojańskiej dostali ogień od ul. Nowomiejskiej. Nie wiadomo

było, czy zostali ostrzelani przez powstańców, czy przez Niemców. Klucząc ruinami zdolali dojść do ul. Długiej i około godz. 7.00-7.30 znaleźli się na placu Krasińskich przy władzie. Tak więc obie grupy: kpr. pchor. „Nałęcz” i st. sierż. „Rysia”, spotkały się mniej więcej w tym samym czasie przy władzie do kanału.

Około godziny 8.00 Niemcy zaczęli bombardowanie lotnicze okolicy, ostrzeliwanie południowego rejonu placu Krasińskich bronią maszynową i granatnikami. Po nalocie obie grupy weszły do kanału (prawie równocześnie). Były to ostatnie lub jedne z ostatnich oddziałów, jakim udało się przedostać do Śródmieścia.

W niedługim czasie po wejściu podanych na liście 30 żołnierzy do kanału, po kolejnych bombardowaniach lotniczych, właz kanałowy został zasypany zwaloną ścianą narożnego budynku i ewakuacja została przerwana.

Co stało się z pozostałymi po zawaleniu włazu do kanału łączniczkami, sanitariuszkami i żołnierzami oraz rannymi w szpitalach, z tymi wszystkimi osobami ze 104 Kompanii, które pozostały na Starówce? Większość z nich zgromadzona była w tym czasie w pobliżu włazu.

Potworzyły się mniejsze i większe grupki, które na własną rękę musiały znaleźć wyjście z sytuacji. Największa grupa utworzyła się na ul. Długiej w pobliżu nr 21. Gdzieś w okolicy znajdował się szpital, do którego udali się na zmianę opatrunków „Sielski” i „Granat”. W czasie zmiany opatrunków zaczęło się kolejne bombardowanie lotnicze i jedna z bomb zburzyła pobliską ścianę, zasypując wejście do szpitala znajdującego się w piwnicach budynku. „Sielski” i „Granat” pomagali przesuwac nosze z ciężko rannymi przez wąskie okienka piwniczne, a następnie odkopali zawalone schody, co umożliwiała wyniesienie ciężko rannych razem z pryczami na zewnątrz.

Grupa zaczęła naradzać się, co robić dalej? Padły najprzeróżniejsze propozycje, takie jak: ukryć się w piwnicach, przejść nimi w pobliże Ogrodu Saskiego i nocą przedrzeć się przez posterunki niemieckie do Śródmieścia, czy też zaszyć się gdzieś w dobrze zamaskowanej piwnicy i czekać w niej do klęski Niemiec, która wydawała się być blisko. Ostatecznie wybrano projekt najbardziej realny: przebrać się w cywilne ubrania i wyjść z ludnością cywilną.

Kaliszanie w Warszawie Nr 9, czerwiec 1995 str. 16-21

Jan Winczakiewicz

Rocznica 1 sierpnia

Na podwórku pali się lampka:
tu zginął młody.

Nieustanne zaduszki.
Warszawa, Niobe i Medea
nad grobami swoich dzieci.

Te nowe domy, nowe osiedla
to płaszcz
rzucony na zwłoki –
wystają nogi, sterczą kikuty,
cieknie stróżka niekrzepnącej krwi.

Przybyszowi z innego miasta
wstyd,
że go tu nie było
w roku owym, w owe dni.

Urodzona w odbudowanej
dziewczyna o mocnych oczach
pamięta czego nie przeżyła.

Dumna żałoba.
Nie wolno żałować.
Nie wolno bić się w piersi.
Milczenie.
I milczący lęk,
aby się to nigdy,
przenigdy
nie powtórzyło.

Kaliszanie w Warszawie Nr 11, czerwiec 1996 str. 14-15

Jan Winczakiewicz – poeta, prozaik, dramaturg, tłumacz, także malarz – urodził się w roku 1921 w Kielcach. W dziesięć lat później przeniósł się wraz z rodziną do Kalisza, gdzie w roku 1938 ukończył Gimnazjum im. Adama Asnyka. Brał udział w kampanii wrześniowej, po klęsce przedostał się do Francji. Studiował w Grenoble i tam debiutował tomikiem wierszy „Pieśń o Wrześniu”. Walczył w szeregach dywizji pancerniej gen. Maczka. Odznaczony orderem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych. Po wojnie osiadł na stałe w Paryżu. W 1995 r. wyróżniony został tytułem Honorowego Obywatela m. Kalisza.

W walce o niepodległość Polski

Bohaterskie kaliszanki

„Słownik uczestniczek walki o niepodległość Polski, 1939-1945, Poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej”, H. Michajska, M. Stopeń, B. Tazbir-Tomaszewska, W. Turkowska, W. Zastocka, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1988, obejmuje 4430 haseł-biogramów. Wśród nich znajduje się dwanaście biogramów kaliszanek. Myślę, że zasługują one na to, aby ich sylwetki opublikować w naszym kwartalniku.

Maria Józefa Balińska, „Regina”(1903-1944), ur. w Aleksandrowsku (Rosja), córka Władysława i Zofii z Suchorzewskich. Do gimnazjum uczęszczała w Kaliszu, w szkole działała w Związku Zachodnim i PCK, przeszła przeszkolenie sanitarne. Podczas wojny obronnej we wrześniu sanitariuszka w wojskowym pociągu sanitarnym na trasie do Kowla. W konspiracji łączniczka Tajnej Armii Polskiej i kolporterka „Biuletynu Radiowego”, od 1940 w ZWZ Okręg Warszawa, następnie łączniczka Kedywu. W Powstaniu Warszawskim sanitariuszka i łączniczka w sztabie zgrup. AK „Radosław” na Woli i Starym Mieście, poległa na ul. Freta podczas opatrywania rannych. Odznaczona pośmiertnie dwukrotnie Krzyżem Walecznych.

Halina Czesława Chalewińska, „Halina”, „Wala” (1909-1944) ur. w Kaliszu, córka Jana, lekarza weterynarii i Haliny ze Szczerbów. Maturę uzyskała w 1927 w Gimnazjum SS. Nazaretanek, w r. 1933 ukończyła Wydział Farmacji na U.W. Pracowała w aptece więziennej w gmachu Arsenалу w Warszawie, instruktorka Przynsposobienia Wojskowego Kobiet. Od 1943 instruktorka WSK Okręgu AK w Warszawie, w swym mieszkaniu przechowywała skoczków spadochronowych, magazynowała broń i mundury. W Powstaniu Warszawskim sanitariuszka w zgrup. ppłk. „Leśnika” (Jana Szypowskiego); poległa w czasie ostatniego natarcia Niemców na Państwową Wytwórnę Papierów Wartościowych, gdy biegła na pomoc ciężko rannej siostrze Irenie. Odznaczona Krzyżem Walecznych.

Irena Chalewińska, „Lena”, „Wala” (ok. 1910-1944), ur. w Kaliszu, siostra Haliny, maturę zdała w Gimnazjum SS. Nazaretanek, absolwentka Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego w Warszawie, komendantka hufca szkolnego PWK, nauczycielka wychowania fizycznego w Państwowym Gimnazjum Żeńskim w Radomiu. Od 1939 w konspiracji w Warszawie; od 1943 instruktorka WSK Okręgu AK Warszawa; okoliczności służby, walki w Powstaniu Warszawskim i śmierci jak siostry Haliny. Odznaczona dwukrotnie Krzyżem Walecznych.

Zofia Hanna Derecka z d. Kolska (1897-1942) ur. we Wrzącej w pow. tureckim, córka Józefa, inżyniera górnika i Kazimiery z Orłowskich; absolwentka gimnazjum w Kaliszu, harcerka, członkini POW, działaczka społeczna. W konspiracji od 1940, czynna w Biurze Badań Technicznych Związku Odwetu KG ZWZ; 8 sierpnia 1940 aresztowana z mężem Janem, kpt. dypl. WP, w konspiracji szefem Wydz. Wywiadu Komendy Okręgowej ZWZ Warszawa – Obszar, oraz z 18-letnim synem Janem i 12-letnią córką Elżbietą. Więziona na Pawiaku, wywieziona do Ravensbruck i z powrotem na Pawiak, w lutym 1942 rozstrzelana w Lesie Sękocińskim k. Warszawy. Męża i syna wywieziono do Oświęcimia, gdzie obaj zmarli w marcu 1941, córkę Elżbietę zwolniono z Pawiaka w grudniu 1940.

Helena Julia Falewlczówna, „Dzika” (1920-1942), ur. w Kaliszu, zam. w Warszawie, córka Andrzeja i Zofii Tomiry z Lenczewskich; absolwentka Liceum im. J. Słowackiego, harcerka, członkini kręgu starszoharcerskiego „Kuźnica”, studentka Wydz. Lekarskiego tajnego Uniw. Warszawskiego. W konspiracji kierowniczką grup żeńskich Organizacji Małego Sabotażu „Wawer” oraz sanitariatu Pogotowia Harcererek na Mokotowie, od maja 1942 referentka sanitarna WSK Obwodu AK Mokotów, zmarła na gruźlicę.

Elwira Fibigerówna (1916-1945) ur. w Kaliszu, córka Gustawa i Wandę z domu Fulde – z rodziny przemysłowców, producentów fortepianów i pianin „Calisia”. Maturę zdała w Gimnazjum im. Anny Jagiellonki, w 1937 ukończyła Akademię Handlową w Poznaniu. We wrześniu 1939 przebywała z matką i siostrą Wandą w Warszawie, jako siostra PCK pielęgnowała rannych; po powrocie do Kalisza w konspiracji w placówce wywiadowczej w Winiarach krypt. „Podlesie”, działającej w sieci referatu „Zachód” wydz.

Wywiadu Ofensywnego Oddz. Inform. Wywiad KG ZWZ-AK, na polecenie swego dowództwa wykorzystywała wobec okupanta niemieckie pochodzenie rodziny, co umożliwiło jej wykonanie wielu poważnych zadań. Po „wsypie” placówki aresztowana 3/4 marca 1944, więziona w Kaliszu i Łodzi, bita i poniżana w śledztwie; skazana na karę śmierci przez Volksgerichtshof z Berlina na sesji wyjazdowej w Kaliszu 6-9 grudnia 1944 r., rozstrzelana w grupie kilkunastu skazańców na osobisty rozkaz gauleitera Greisera z Poznania. Egzekucji dokonano w Lasach Skaryszewskich 19 stycznia 1945 roku.

Maria Leończuk (1895-1939) ur. w Pułtusku, córka Bronisława, ogrodnika i Marianny z Dąbrowskich, szarytka o wykształceniu średnim, pielęgniarka w Szpitalu św. Trójcy w Kaliszu. W pierwszych dniach września 1939 ewakuowana przez władze wojskowe; poległa w oblężonej Warszawie podczas pracy w bombardowanym Szpitalu Dzieciątka Jezus.

Henryka Saramowiczówna (1917-1939), zam. w Kaliszu, maturę uzyskała w Gimnazjum im. Anny Jagiellonki. W 1938 r. ukończyła 6 miesięczny kurs siostr Pogotowia PCK dla Wojskowej Służby Zdrowia na wypadek wojny, 4 września 1939 otrzymała przydział jako siostra PCK do szpitala wojskowego nr 401, z taborem sanitarnym dotarła do Warszawy, gdzie pracowała w Szpitalu Ujazdowskim na Oddz. Chirurgicznym. 21 września podczas bombardowania artyleryjskiego ciężko ranna, po długiej chorobie zmarła w szpitalu; pochowana na Cmentarzu Wojskowym Powązki. Odznaczona Krzyżem Walecznych.

Aleksandra Sikorska (1907-1942), ur. w Kaliszu, córka Ignacego, fabrykanta, i Juliany z Blachów, szarytka, w 1930 ukończyła szkołę handlową w Kaliszu. W czasie okupacji – w Warszawie, ukończyła szkołę pielęgniarstwa przy Szpitalu Przemienienia Pańskiego, zginęła w Szpitalu Dzieciątka Jezus podczas nocnego nalotu bombowców radzieckich na Warszawę.

Władysława Skoniecka z d. Liberadzka, „Władzia” (1901-1944), ur. w Kaliszu, córka Leopolda i Aleksandry z Florczaków; żona Jana, czł. KPP i PPR, sekretarza KD PPR w Legionowie k. Warszawy, od 1942 członkini PPR, GL i AL. Kiedy oddział policji niemieckiej otoczył jej dom w Legiono-

wie mąż, syn Jerzy i wychowanek Władysław Nalazek ostrzeliwali się przez kilka godzin, w końcu Niemcom udało się oblać budynek benzyną i podpalić. Władysława schwytana i torturowana zginęła na podwórzu obok palącego się domu.

Władysława Wierzbicka (1909-1944) ur. w Kaliszu, gdzie ukończyła szkołę średnią, a w Poznaniu Wyższą Szkołę Pielęgniarek i Higienistek, działaczka Zw. Pracy Ludowej „Orka”; we wrześniu 1939 pielęgniarka w szpitalu jeńców polskich w Łodzi. Podczas okupacji pracowała w Warszawie, początkowo w Domu ks. Boduena, następnie w lecznicy dr. Weissa i w Szpitalu Maltańskim, gdzie prowadziła kurs dla sióstr Zielonego Krzyża, także łączniczka radiostacji nadawczo-odbiorczej „82” KG BCh. Podczas Powstania Warszawskiego w Szpitalu Maltańskim, potem w punkcie opatrunkowym przy ul. Miodowej. Ranną i poparzoną umieszczono w szpitalu na Woli, skąd w stanie ciężkim została ewakuowana do szpitala w Milanówku, a 10 października 1944 przewieziona do szpitala oo. jezuitów w Krakowie, tam zmarła. Pochowana na Cmentarzu Rakowickim.

Wanda Zawilska, zam. w Kaliszu. W konspiracji łączniczka Insp. Rej. Kalisz Okręgu ZWZ-AK Łódź. Aresztowana latem 1942 i zamordowana.

*Wybrał i opracował **Stanisław Szarras***

Kaliszanie w Warszawie Nr 28-29, maj 2001 str. 18-21

Odloty i powroty

Z Alicją Bładowską rozmawia Henryk Podsiadły

Zacznijmy od początku. Nie zapytam kiedy..., lecz gdzie się urodziłaś?

Urodziłam się w Mławie, położonej wtedy i teraz w województwie mazowieckim. Natomiast od lat dziecięcych byłam związana z Kaliszem.



Postępujesz się czasami swoim tytułem rodzowym?

Wypadki takie, z którymi można się ostatnio spotkać, uważam za anachronizm. Swoje „korzenie” traktuję z sentymentem, jako przy tym reminiscencje metrykalne, wewnątrzrodzinne.

Moje jednak ze środowiskiem klubowym, w pewnym sensie „rodzinnym”, podzielił się tym swoim sentymentem?

Moje nazwisko rodowe: Beeli de Belfort Mój prapradziadek ze strony Ojca emigrował do Polski z francuskiego kantonu w Szwajcarii. W starej szkatułce przechowuję pieczęcie herbowe i sygnet. Na Cmentarzu Ewangelicko-Reformowanym w Warszawie zachował się grobowiec naszej rodziny z połowy XIX wieku, z modernistyczną kamienną rzeźbą anioła. Na Cmentarzu Powązkowskim jest grobowiec mojej Babki. Tak jak Ona jestem katoliczką, bowiem według tradycji małżeństw mieszanych synowie przejmowali wyznanie po ojcu, a córki po matce.

Jak długo mieszkałaś w Mławie?

Zaledwie trzy lata. Ojciec Stanisław Beeli był tam sędzią śledczym. Matka, Anna z Grudzińskich, uczyła języków obcych. Miałam troje rodzeństwa: młodszą siostrę rodzoną Julię, i przyrodnich (z pierwszego małżeństwa Matki) Bogdana i Krystynę Fiałkiewiczów.

Ojciec otrzymał przeniesienie służbowe do Warszawy i zamieszkaliśmy przy Marszałkowskiej, a niedługo potem został mianowany sędzią Sądu Okręgowego w Kaliszu i powędrowaliśmy znad Wisły nad Prosnę.

Wspomnienia łączysz z początkami swojego „kaliskiego życiorysu”?

Niewiele pamiętam z tamtych lat. Nauka w pierwszych oddziałach szkoły powszechnej, zabawy w Ogrodzie Jordanowskim przy Częstochowskiej, wspólna choinka sądowa, z okazji której śpiewałam solo kołędę z ogromną treścią. Zapamiętałam swoją rozpacz, gdy „zabłądziłam” w okolicy Ratusza, po odłączeniu się od Matki, gdy kupowałam owoce w kiosku Jagodzińskich.

Moja siostra Krystyna była uczennicą Liceum im S.S. Nazaretanek, a brat Bogdan po ukończeniu Liceum im. A. Asnyka studiował w Szkole Nauk Politycznych w Warszawie.

Wybuchła wojna.

I spowodowała mój pierwszy powrót do Warszawy. Ewakuowaliśmy się 2 września 1939 r. pociągiem, który został zbombardowany pod Łodzią. Pojechaliśmy dalej wynajętą furmanką. Zatrzymaliśmy się w mieszkaniu rodziny przy Poznańskiej.

Zapamiętałam grozę dni wrześniowych podczas obrony Stolicy. Kanonadę artyleryjską, wybuchy bomb zrzuconych przez niemieckich lotników na dzielnice mieszkalne, pożary i chmury dymów nad miastem. Najpierw bohaterstwo polskich żołnierzy, także z pułków kaliskich, później smutek i gorycz, gdy szli do niewoli.

Jak długo po kapitulacji zostałeś w Warszawie?

Zaledwie kilkanaście dni. Były trudności z aprowizacją. Znowu wozem konnym wracaliśmy do Kalisza.

Boże Narodzenie bez choinki. Narastał terror hitlerowski. Masowe wysiedlenia ludności i pierwsze aresztowania, m.in. wśród sędziów i prokuratorów. Przy pomocy przyjaciół „zorganizowanym” samochodem ciężarowym uciekliśmy z Kalisza do Warszawy. Zamieszkaliśmy na Saskiej Kępie przy ul. Walecznych.

Był to Twój drugi powrót do Warszawy.

Rozpoczął długi okres niedoli okupacyjnej. Nierzadko było głodno i chłodno. Ojciec zarabiał mizernie jako administrator kilku domów; korzystał z pomocy materialnej brata Zygmunta, lekarza praktykującego na Żoliborzu.

Chodziliśmy z Julką na tajne komplety, podniecone taką „konspiracją”. Krysia chodziła na tajne komplety gimnazjalne. Bogdan został schwytyany w łapance ulicznej i wywieziony na roboty przymusowe do Rzeszy. Po kilku miesiącach uciekł i powrócił do nas, musiał jednak się ukrywać. Działał w dywersji AK pod ps. Bohusz. W styczniu 1943 r. odkomenderowany został z oddziałem kadrowym na I odcinek Wachlarza – do Lwowa. Ranny w starciu ulicznym z Gestapo, został osadzony w więzieniu „brygidki” i zamęczony podczas śledztwa.

Nadszedł 1 sierpnia 1944 r.

Od godziny „W” nasłuchiwaaliśmy odgłosów walk „za Wisłą”, później widzieliśmy łuny pożarów i chmury dymów zasnuwających lewobrzeżną Warszawę. Dochodziły wieści o bohaterskich walkach powstańców, a także – niestety – o masowych morderstwach okupanta.

Praga została opanowana w połowie września przez wojsko polskie i wojska radzieckie, była jednak nadal intensywnie ostrzeliwana przez Niemców. Pocisk artyleryjski trafił w dom, gdy na szczęście znajdowaliśmy się w schronie piwnicznym, burząc m.in. nasze mieszkanie.

Z częścią uratowanego dobytku wyładowaliśmy na wsi pod Radzymi-
nem, a stamtąd po „ofensywie wiślanej” i wyzwoleniu całej Stolicy, powróciliśmy wojskowym samochodem transportowym kościuszkowców do Kalisza.

A w Kaliszu?

Ojciec podjął służbę w Sądzie Okręgowym, otrzymując początkowo uposażenie w postaci paczek UNRRA. Ja i Julka uczęszczałyśmy do „Nazaretu”. Z tych czasów szkolnych pozostały liczne więzi przyjaźni. Z mojej klasy w Klubie są jeszcze trzy koleżanki: Danka Kołacińska. Basia Pajęczkowska i Krysia Tarczyńska. Wspominamy zabawowe „tamte prywatki” – na jednej z nich poznałam swojego przyszłego męża Bogdana Bładowskiego. Były spacerunki po Prośnie „hamburkami” – do mostu piwonickiego, wycieczki rowerowe po okolicy. A kto pamięta coroczne „biegi narodowe”? Podczas jednego z nich, w klasie uczennic szkół średnich, zdobyłam II miejsce!

Po maturze i przymusowej rocznej karencji dostałam się na studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Musiałam je przerwać na kilka lat „ze względów rodzinnych” (urodzili się Jacek i Ewa). Dokończyłam naukę w Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu.

Jaką profesję wybrałaś?

Wykonuję zawód adwokata. W swojej kancelarii przeprowadziłam z dobrym rezultatem m.in. głośne „sprawy kaliskie”: o reprivatyzację Fabryki Fortepianów i Pianin Fibigerów i Cegielni Mechanicznej Sieradzkiej w Opatówku. Udzielałam się społecznie w Zrzeszeniu Prawników Polskich- zostałam, wyróżniona „Odznaką Honorową”.

Opowiedz o swoim kolejnym powrocie do Warszawy.

Był to trzeci i z pewnością ostatni mój powrót z Ziemi Kaliskiej na Mazowsze. Bogdan, sędzia Sądu Wojewódzkiego w Kaliszu, powołany został z początkiem 1981 r. na stanowisko sędziego Sądu Najwyższego – Izby Cywilnej. Zamieszkaliśmy na Grochowiu, a ostatnio na Muranowie. Wypoczywamy w swoim domku letniskowym w lasach Lelewa n. Wkrą. Utrzymujemy żywe kontakty koleżeńskie i towarzyskie, bo „taki mamy charakter”. W Kaliszu pozostała córka z rodziną, ma tam kancelarię notarialną Wnuk Maciek rozpoczął właśnie studia prawnicze. Syn, także prawnik, przesiedlił się z rodziną do Warszawy. Drugi wnuk Tomek jest licealistą i, jak mówi, także marzy mu się prawo.

Czujesz się kaliszanką?

Jestem w Klubie Kaliszan od początku...

Rozmawiał Henryk Podsiadły

Kaliszanie w Warszawie Nr 34-35, listopad 2002 str. 32-36

O Barbaro

O Barbaro, o Barbaro
wśród swych panien wodzisz rej,
chodźże z nami, ze swą wiarą
w boje do dalekich kniej.

Na śniadanie będziem jeść,
o Barbaro,
wody dzban i kulek sześć
o Barbaro,
a na obiad wiatru tyk,
o Barbaro.
Lecz kupa kamieni
w szynkę się zamieni,
kiedy z nami będziesz ty.

O Barbaro, o Barbaro,
wkoło ciebie chłopców rój,
lecz ty pójdiesz z naszą wiarą,
w naszych sercach pójdiesz w bój.

Trzeba będzie mundur wdziać,
o Barbaro,
nocą w łóżku z gliny spać,
o Barbaro,
zamiast wanny – wody rów,
o Barbaro.
Lecz cóż znaczy
prysznic z kul, kartaczy,
kiedy z nami będziesz znów.

O Barbaro, o Barbaro,
w ogień śmiało z nami idź,
bo wesoło z naszą wiarą
nawet w piachu ryć.

Wspomnienie z Powstania Warszawskiego

Katedra – 27 sierpnia 1944

Rano Niemcy po raz pierwszy weszli do katedry. (...) Pchnąłem łączniczkę do „Bończy”. Odpowiedź przyszła natychmiast: „Odbić katedrę za wszelką cenę”. Kazałem „Młodzikowi” wybrać pięciu „pistoletów” gotowych na wszystko.

Plan miałem właściwie gotowy, bo z góry zgadywałem, znając rozkład gruzów w kościele, gdzie Niemcy przypuszczalnie ulokują gniazda broni maszynowej.

W głównej nawie stały tylko mury, ołtarz i strop częściowo były zawalone, wchodziła więc w grę nawa prawa i lewa z żarzącym się wciąż w okolicach zakrystii stropem.

Wezwałem podchorążego „Tomaszewskiego”, który stracił narzeczoną kilka dni temu i wiedziałem, że chłopiec aż dyszy, by odegrać się na Niemcach. Ma wziąć ośmiu ludzi i podciągnąć ich od bramy na Jezuickiej do zakrystii. Będzie im tam trochę gorąco, bo stropy i schody opodal ciągle się żarzą, ale ma siedzieć cicho i akcji nie wszczynać dopóki z zewnątrz kościoła nie padnie hasło „Szczerba”. Wtedy przeć w kierunku ołtarza prawej nawy, bo tam prawdopodobnie będzie wrogie gniazdo ogniowe. Po drodze zwrócić uwagę na lewy ołtarz, żeby przypadkiem na swoich tyłach nie zostawić jakiegoś Szkopa. Ja idę od głównej bramy. Żadnej strzelaniny w kościele, zanim padnie hasło. To wszystko.

Zjawił się „Młodzik” z piątką suchów. Wybór na oko wydawał mi się dobry.

– No, chłopcy – powiedziałem – czeka nas ryzykowna robota, ale na to nie ma rady!

– Idziemy od Świętojańskiej? – spytał „Młodzik”.

– Nawet dalej – odpowiedziałem – od Piwnej.

– Nieźle pomyślane – pochwalił chłopiec.

Jeszcze raz upomniałem „Tomaszewskiego”, by czekał cierpliwie na hasło i ruszyłem ze swoją grupką przez rynek na Piwną, gdzie siedział mój sąsiad z prawej, podporucznik „Mierosławski” ze 102. kompanią. Zauważyłem, że gruzy na Rynku już są zupełnie inaczej „poukładane” przez sztukasy niż wczoraj.

– Mają jeszcze bomb pod dostatkiem – westchnąłem – skoro stać ich na takie mieszanie rumowiska.

Po drodze wtajemniczyłem chłopców, że uderzamy przez główną bramę, bo tam pod chórem jest góra gruzów, która da nam pierwszą osłonę. Gdy zlikwidujemy załogę kaemu wtedy ten, kto ma silny głos, krzyknie hasło. Specjalnie wybrałem taki pseudonim, którego żaden Szkop nie wymówi. To będzie znak dla „Tomaszewskiego” do połączenia się z nami.

Doszliśmy do Piwnej. Tam już zastałem rotmistrza „Bończę”. Spodziewał się widocznie, że stąd będą wychodził do akcji.

– Zaczyna pan zaraz?

– Tak, tylko przez zaskoczenie może mi się to udać.

– Kto prowadzi? „Młodzik”? – zapytał znowu.

– Ja prowadzę.

– Zupełnie niepotrzebnie! – zirytowała się nagle „Bończa”. – Pan ma rękę w gipsie.

– Chodzę na nogach, panie rotmistrzu, a nie na rękach – odpartem. – A na pewno lepiej będzie, gdy mnie tam nie zabraknie.

Domami dotarliśmy do Świętojańskiej, skąd dochodziły krótkie serie z broni maszynowej. Uwagę moją przykuły dwa nieduże okna wychodzące prawie vis a vis głównej bramy kościoła.

– Jak ulica? – spytałem „Mierosławskiego”.

– Z zamku biją jak zwykle – odpowiedział dowódca 102. kompanii – ale gorzej, bo trzy domy stąd po przeciwnej stronie na pierwszym piętrze wali z okna erkaem. Skok przez ulicę trudny. Najlepszy jeszcze byłby z tych okien, bo najkrótsza droga. Tylko jak wyskoczyć, będąc na muszce z odległości niecałych 50 metrów?

– Tak to istotnie jedyna droga – powiedziałem.

– Kategoriecznie zabraniam panu – rzekł „Bończa” – z jedną ręką robić jakieś cyrkowe ewolucje. Niech pan sekundę zmarudzi po wysoku, to już Szkop przygwoździ szanownego pana na wieki – dodał z właściwą sobie nonszalancją.

– Jest na to i inna rada – rzekł „Młodzik”. – Granat w barykadę i zakurzę Szkopowi przed oczami, a przez ten czas będziemy już w kościele. Co po tym to już wola boska.

– Widzi pan – rzekłem zwracając się do Bończy” – vox populi, vox dei. Dwóch miało skakać ze mną, trzech z „Młodzikiem” z drugiego okna bliżej barykady.

„Bończa” odciągnął mnie na stronę.

– Może dodać panu ludzi?

– Po co? Jeśli mi się uda, to co mam wystarczy. A jeśli się nie uda – to po co ryzykować jeszcze większe jatki.

„Bończa” spojrzał mi uważnie w oczy.

– Argument niby słuszny – rzekł.

– Tak mi się wydaje- odpowiedziałem.

Stojąc już na parapecie okna przypomniałem chłopcom:

– Jak tylko wpadniemy, zakurzyć granatami w kierunku ołtarza prawej nawy, potem walić skąd idą głosy!

„Młodzik” odbezpieczył granat i rzucił go w barykadę.

– Skok! – usłyszałem swój i jego głos poprzez huk eksplozji i rzuciliśmy się jak jelenie do uchylonych wrót kościoła.

Gdyśmy przypadli do kupy gruzów pod chórem, przywitała nas seria z broni maszynowej, ale już pięć granatów leci w tamtym kierunku. Sekunda śmiertelnego wyczekiwania i cały kościół wypełnił się hukiem i niehumanym wyciem ranionych.

Kurz przesłonił nam wszystko, a odłamki kamieni leciały po całej świątyni.

„Miałem rację” – przemknęło mi przez myśl... Młodzik” wysunął się na gruzy i puścił w głąb katedry serię ze szmajsera. Zawtórowały mu dwa inne nasze peemy. Z tamtej strony odpowiedział tylko jeden.

– Bij s...synów! – ryknął „Młodzik” i jak kot przeskoczywszy przez wysoki wał rumowisk, rzucił się naprzód w opadający kurz.

– Naprzód! Skok! – krzyknąłem i poderwałem się, porywając na nogi resztę chłopców.

Nie poszło mi tak łatwo jak innym. Przy przełazeniu przez kamienie prawa ręka też mi właściwie nie mogła być pomocną, bo trzymałem w niej gotowy do strzału pistolet. Gdy mi się noga osunęła już na szczycie, spadłem w dół – po przeciwnej stronie, cały czas myśląc o tym, by nie upaść na unieruchomiona w gipsie rękę.

Gdy podnosiłem się z ziemi, ujrzałem przed sobą pod niemieckim hełmem oczy na równi złe jak i przestraszone. Niemiec widocznie przypuszczał, że spadam mu pod nogi jako trup, a tu domniemany nieboszczyk nagle zaczyna się podnosić.

Moment jego osłupienia wykorzystałem naciskając spust colta, mierzyłem w brzuch. Dwa strzały, które wyczułem raczej po szarpnięciach pistoletu, niż usłyszałem w ogólnym hałasie, i oczy pod wrażliwym hełmem zapadły się w kurz i gruzy. Czyjeś ręce podniosły mnie z klęczek. To jeden z chłopców.

– Dziękuję ci – powiedziałem. – Wal naprzód!

Spojrzałem w kierunku ołtarza lewej nawy. Kurz opadł na tyle, że można było coś niecoś widzieć. Koło karabinu leżały trzy ciała. Widać gotowi.

„Młodzik” szalał po całym kościele. Jakiegoś podnoszącego się z trudem SS-mana kopnął w zęby, zupełnie jak w filmie amerykańskim, drugiego zdzielił przez łeb kolbą szmajsera. W zamęcie każdy zapomniał o hasle dla lewego skrzydła natarcia. Podbiegłem do drzwi zakrystii i krzyknąłem je głośno. Wypadł „Tomaszewski” ze staniem w rękę.

– Walić prosto na wypalone domy w stronę zamku – krzyknąłem mu w ucho- Tu już nic po was!

Pobiegli ochoczo depcząc po leżących Niemcach. Chłopcy obszukiwali kościół, czy się gdzieś jakiś niedobitek nie zataił, a ja oglądałem leżące trupy. Wszystko SS-mani.

Podszedł do mnie „Młodzik” zziąjany, spocony i zacięty. Właśnie zmienił magazynek w swoim szmajserze. Położyłem mu rękę na ramieniu.

– Zuch z ciebie – powiedziałem. Pięciu takich jak ty wystarczyłoby za całą kompanię. Podam cię do odznaczenia.

Chłopak skrzywił się.

– E... Co mi tam – rzekł, po czym obrzuciwszy mnie wzrokiem, dodał: Przepraszam, bo przyrzekłem sobie mieć oko na pana, ze względu na pańską rękę, ale tak jakoś wyszło, że nie miałem czasu... Ale chwalić Boga widzę, że pan porucznik cały.

Uśmiechnąłem się.

– Oczyszciliście tak szybko kościół, że ja właściwie tylko przyglądałem się waszej robocie.

Schodzili się zmęczeni, ale rozradowani chłopcy. Tylko czterech.

– Gdzie piaty? – spytałem.

– Został główniarz – wypalił „Młodzik”. – Nie skoczył z nami. Nerwy mu widocznie nawaliły.

Chłopiec na pewno nie zdawał sobie sprawy, że ganiąc kolegę po prostu wlewa mi radość do serca. Więc nie straciłem ani jednego człowieka, kościół jest nasz (spojrzałem na zegarek) cała rzecz trwała nie więcej niż 20 minut. To rzeczywiście czysta robota. Spojrzałem po rozradowanych twarzach chłopców i trochę wzruszonym głosem powiedziałem:

– Macie prawo być dumni, fajne z was chłopaki – dziękuję wam za to... Oglądałem pobojuwisko: erkaem, trzy pięści pancerne, siedem karabinów, skrzynki z amunicją, dwa szmajsery i osiem SS-mańskich trupów.

Byłem naprawdę szczęśliwy. Zdobytna broń, bezcenna w tych dniach rzecz, leżała u moich stóp.

Polecilem „Młodzikowi” zostać na miejscu ze swoją czwórką zuchów, aż przyślę „Karolaka”, dowódcę pierwszego plutonu, żeby go zluzował, a sam udałem się szybko na kwaterę i w pięć minut później łączniczka „Kropka” niosła do „Bończy” meldunek w dwóch słowach: „Rozkaz wykonany. Chyba po pół godzinie mój zastępca podporucznik „Janusz” przyniósł mi wiadomość, że dawna stracona tzw. Barykada „Malarza”, przylegająca do garaży zamkowych, została obsadzona przez podchorążego „Tomaszewskiego”. Również erkaem, który przed godziną z wypalonych domów bronił nam wejścia do katedry, został „zafasowany” przez plutonowego „Karolaka”. Niemcy tak szybko umykali, że go zostawili. Znowu poczułem dumę.

– Przyjemnie jest dowodzić takim wojskiem jak te chłopaki – powiedziałem.

– Na pewno – odpowiedział „Janusz”. – Spróbuję jeszcze odbić zamek.

– Nie da rady poruczniku – rzekłem. – Nawet niech pan nie próbuje. Byle utrzymać to cośmy dziś uzyskali. Nie kuśmy losu.

Gdy wyszedł, napisałem do „Bończy” drugi meldunek, który poniosła „Czarna Baśka”, o treści: Barykada „Malarza” w naszym ręku. Mam styczność z zamkiem.

Dochodziła godzina 11.00.

Resztę dnia spędziłem na rozmieszczeniu naszych placówek na zajętym terenie. Czynności te były przerywane kilka razy niemieckimi nalotami, z których pierwszy rozpoczął się niespełna godzinę po odbiciu kościoła. Katedra obracała się w ruiny. Gdy zapadł zmierzch, wezwałem „Korwina” i zażądałem od niego obsadzenia na noc barykady „Malarza”, gdyż moi chłopcy dosłownie walili się z nóg ze zmęczenia po kilkunastu godzinach na pozycjach. Jednocześnie „Bończa” przysłał mi oddziałek ludzi z tzw. zmotoryzowanej brygady na obsadzenie domów między katedrą a zamkiem. Późno w noc, sprawdzwszy czy wszystko jest w należyтым porządku, wróciłem do kwatery na Jezuickiej, rzuciłem się na pościel i zasnąłem twardym snem, który już dawno uciekł ode mnie w te dni.

Zbigniew Blichewicz

(Fragment książki „Powstańczy Tryptyk”, Gdańsk 2009)

Kaliszanie w Warszawie Nr 58-59, październik 2011 str. 7-11

(sł. Autor nieznany, na melodię „Argentyńskiego tanga”)

Pierwszy sierpnia – dzień krwawy

Pierwszy sierpnia – dzień krwawy,
Powstał naród Warszawy,
By uwolnić stolicę od zła.
I zatknęli na dachy,
Barykady i gmachy
Biało-czerwonych sztandarów las.

O, jaka rozkosz się w sercu zaczyna
Gdy vis w ręku gra,
A empi nigdy się nie zacina,
Wolna Warszawo ma!
Bo z krwi naszej powstanie Warszawa,
Aby wiecznie żyć,
Gdy naród raz chwycił za oręż, Musi wolnym być!

Trzeba obejść przez getto,
Bo już Wolę zdobyto,
A za nami czerwieni się noc.
Stare Miasto już płonie,
A nam mdleją już dłonie,
Trzeba walczyć dzień i całą noc.

Zmienić nie ma nas komu,
Iść nie można do domu,
Chociaż z domu tylko gruzy są.
Nie ma matki, rodziny,
Ni kochanej dziewczyny,
Tylko oczy zachodzą mi mgłą.

O, jaka rozpacz me serce rozpina,
Walczyć nie ma czym!

Pod czołg idzie z butelką dziewczyna,
By zapłacić im!
Za zburzoną, kochaną stolicę
I za zgłiszcza te,
I za trupów dziś pełne ulice,
Za powstańczą krew!

Stare Miasto za nami,
Trzeba iść kanałami,
Chociaż rany tak pieką i rwą.
Chociaż serce tak boli,
Trzeba iść wbrew swej woli,
Chociaż oczy zachodzą ci tzą.

Płakać nam nie wypada,
Bo już Niemiec się wkrada,
Aby wyrwać najdroższą nam broń.
Broni wam nie oddamy,
Raczej wszyscy padniemy,
Razem z życiem zabierzcie nam broń.

O, jaka rozpacz...

Już Śródmieście się łamie,
Niemcy są w każdej bramie
I stawiają Polaków pod mur.
Słychać tylko salwy krótkie,
Potem jęki cichutkie,
To tak ginie Warszawski nasz lud.

Tak to giną Warszawiacy,
Bohaterscy chłopacy,
Którzy wolną Warszawę chcieli mieć.
Nasza siła za mała,
Aby wroga pokonała,
Zamiast wolności mamy dziś śmierć.

O, jaka rozpacz...

Mijają godziny i chwile,
Przy powstańców mogile
Kłęczy matka i cichutko łka.
Serce jej z bólu płacze,
Już cię, synu, nie zobaczę,
Taka smutna matczyzna dola ma.

Powstań, synu mój miły,
Powstań z ciemnej mogiły
I do matki swej nieszczęśliwej wróć.
Niech cię jeszcze zobaczę,
Nad ranami zapłaczę,
Powstań synu, męczarnie moje skróć!

O, nie płacz matko nad grobem powstańca,
Nie trzeba mu łez,
Taka jest przecież dola skazańca,
Taki życia kres.
Za Warszawę swe życie oddałem,
Szedłem w krwawy bój,
Chociaż lat tylko szesnaście miałem,
Szedłem w trud i znój!

Kaliszanie w Warszawie Nr 58-59, październik 2011 str. 12-14

**śł. Eugeniusz Żytomirski „Czarny”, Zbigniew Krukowski „Korwin”
muz. Zbigniew Krukowski „Korwin”**

Marsz Śródmieścia

I znów walczy dzielna Stolica,
Znów ją pokrył pożogi dym,
I na krwią zbroczonych ulicach
Znów wolności rozbrzmiewa hymn...

Choć mundury nie zdobią nam ramion,
Choć nie każdy posiada z nas broń,
Ale ludność Warszawy jest z nami,
Każdy Polak podaje nam dłoń.

Bo my – walcząca Warszawa,
Złączona ofiarą krwi...
Nasz cel to wolność i sława,
Potęga przyszłych dni!

Nieznane jest nam słowo „trwoga”,
Nie uśpi nas podstępny wróg...
Kto żyw, ten z nami na wroga,
Tak nam dopomóż Bóg!

Kaliszanie w Warszawie Nr 62-63, październik 2012 str. 8

Nierówny bój

Dzisiejsze pokolenie nie pamięta czasów, kiedy na murach miast i wsi rozlepiano propagandowe afisze: „AK – zapluty karzeł reakcji”. Powstawało pytanie, jaka to reakcja?

Dziś toczą się dyskusje nad przyczynami i skutkami Powstania Warszawskiego. Otóż zazwyczaj błędnie się mówi, że nasze polskie sprawy i dążenia do pełnej niepodległości zostały przekreślone na konferencji w Jałcie. Nie jest to ściśle określenie, ponieważ właściwe decyzje o tzw. teatrze działań wojennych na Wschodzie i Zachodzie oraz ustalenie stref wpływów po wojnie miały miejsce rok wcześniej – na konferencji w Teheranie.

Warto przypomnieć, że ustalono wówczas m.in., iż Wyzwoleńcza Armia Jugosławii pod dowództwem J. Broza-Tity, chociaż bliska Moskwie, strategicznie podporządkowana została VIII Armii Brytyjskiej. Odwrotnie Armia Krajowa, która związana była politycznie z rządem polskim w Londynie i aliantami zachodnimi, a jednak w myśl ustaleń konferencji teherańskiej pod względem działań strategicznych miała podporządkować się Armii Radzieckiej.

Na konferencji prasowej zapytano premiera Churchilla: „Jak należy rozumieć to, że popiera jugosłowiańskich komunistów”. Odpowiedział: „Nie ważne w jakim kolorze jest diabeł, czy w czarnym czy w czerwonym – ważne, że walczy z naszym wspólnym wrogiem”.

Przygotowanie do „Burzy”

Rok 1944 w historii Armii Krajowej był szczytowy w mobilizacji zbrojnego podziemia do przygotowania powszechnego powstania. Plany strategiczne i operacyjne AK zakładały, że powstanie rozpocznie się w terenie, paraliżując niemiecki transport i łączność. Przeprowadzone zostaną ataki na jednostki przeciwnika i dopiero wtedy rozpocznie się wkraczanie do większych miast.

W szczytowym punkcie mobilizacyjnym w AK zaprzysiężonych było ok. 300 tys. żołnierzy. 20% z nich znajdowało się w oddziałach partyzanckich.

30 lipca komendant główny AK gen. „Bór” (Tadeusz Komorowski) zwołał na następnego dzień na godz. 16 zebranie Komendy Głównej AK w pełnym składzie z udziałem delegata rządu na kraj Stanisława Jankowskiego.

Ówczesny naczelny wódz gen. Kazimierz Sosnkowski był przeciwny organizowaniu powstania i wyjechał na inspekcje II Korpusu do Włoch. Rząd Polski w Londynie dał wolną rękę delegatowi Jankowskiemu i komendantowi głównemu AK gen. „Borowi”.

31 lipca o godz. 15 zebrała się Komenda Główna AK (w zmniejszonym składzie). Sytuację referował płk. „Monter”, który zaproponował rozpoczęcie powstania następnego dnia, 1 sierpnia o godzinie „W” czyli 17. Gen. „Bór” zwrócił się do Jankowskiego o akceptację, a po jej uzyskaniu wydał rozkaz rozpoczęcia powstania.

A sytuacja przedstawiała się następująco: rozpoczęło się kontruderzenie niemieckich sił pancernych na północ od Warszawy. Sowietci ponieśli duże straty. Od zachodu zmierza ku Warszawie doborowa dywizja pancerna „Hermann Goering”.

W tej sytuacji gen. „Bór” zwrócił się do płk „Montera” z zapytaniem czy jest możliwe odwołanie powstania. Odpowiedź brzmiała „nie”, bo meldunki poszły już w teren.

Powstanie wybuchło. Panował ogromny entuzjazm. Wszyscy sądzili, że decyzja jest słuszna i zaakceptowana przez Wielką Brytanię oraz Stany Zjednoczone. W rzeczywistości było odwrotnie. Powstańcy liczyli na pomoc Zachodu. Wprawdzie przyszła taka w postaci zrzutów, ale znaczna ich część trafiła w ręce wroga.

Po kilku dniach walk powstańcy opuścili niektóre dzielnice miasta, ponosząc ciężkie straty. Niemcy masowo mordowali ludność cywilną.

W tych warunkach naczelny wódz gen. Sosnkowski wrócił z Włoch do Londynu i domagał się od Brytyjczyków natychmiastowej pomocy. Ta postawa generała nie spodobała się dowództwu brytyjskiemu i został on odwołany ze stanowiska. Jego obowiązki przejął gen. Władysław Anders. Był on zdecydowanym przeciwnikiem powstania. Walka powstańców to wielkie bohaterstwo, ale sama decyzja o rozpoczęciu powstania to zbrodnia, rzucenie do boju młodzieży niewykształconej i niedostatecznie uzbrojonej. Stąd tak duże straty wśród powstańców i ludności cywilnej oraz zagłada całego dorobku kultury narodowej – domagam się, aby po wojnie postawić gen. »Bora« pod sąd wojenny” – oznajmił.

Na pomoc Warszawie

15 sierpnia Komenda Główna AK zarządziła marsz na odsiecz walczącej Warszawie Kieleckiego Korpusu „Jodła”. Wszyscy żołnierze AK entu-

zjastycznie zareagowali na wieść, że idą z pomocą stolicy, ale nie zdawali sobie sprawy z realiów tej walki. Niemcy tylko czekali, by żołnierze AK sforsowali Pilicę i weszli na otwarte tereny, a wtedy zostaną otoczone przez jednostki pancerne i zbombardowane przez lotnictwo.

W tej sytuacji dowódca korpusu „Jodła” płk „Mieczysław” (Jan Zientarski) wydał rozkaz rozwiązania koncentracji i wymarsz oddziałów na pozycje wyjściowe oraz nakazał realizację „Burzy”.

Powstańcy po 63 dniach ciężkich walk i ogromnych stratach skapitulowali.

Dziś musimy postawić pytanie, co by się stało, gdyby Powstanie Warszawskie się udało? Odpowiedź jest prosta – to samo, co kilka miesięcy wcześniej z opanowanym przez AK Wilnem. Kiedy weszli tam Sowieci, podziękowali akowcom za ich czyn, po czym zaprosili na spotkanie i defiladę. Następnie aresztowali dowództwo i wywieźli w głąb Związku Radzieckiego, a szeregowych żołnierzy wcielono do Armii Czerwonej lub zesłano do łagrów. Podobnie postąpiono z 27. Wołyńską Dywizją AK na Lubelszczyźnie.

Plan Stalina został wykonany. Sowieci zdawali sobie sprawę z tego, że powstanie upadnie, ale walczący w nim zwiążą znacznie siły niemieckie, w wyniku, czego Armia Radziecka będzie miała oczyszczony teren przed planowaną ofensywą. Zaś Hitler wyręczy Stalina w likwidacji centrum dowodzenia AK. I tak się stało.

60 rocznica Powstania Warszawskiego nie powinna być rocznicą zwycięstwa idei nad realizmem, ale rocznicą żałoby po tych, którzy oddali życie za ojczyznę.

Zbigniew Zieliński

(Polska Zbrojna – Historia nr 31, 2004)

Kaliszanie w Warszawie Nr 62-63, październik 2012 str. 5-7

Sanitariuszka Małgorzatka

Przed akcją była skromną panną,
mieszkała gdzieś w Alei Róż,
miała mieszkanie z dużą wanną,
pieska pinczerka, no i już!

I pantofelki na koturnach
i to, i owo, względnie lub,
trochę przekorna i czupurna,
i tylko „Mewa” albo „Klub”.

Na plażę biegła wczesnym rankiem,
żeby opalić wierzch i spód,
dzisiaj opala się „Junakiem”
i razem z nami spija miód.

Sanitariuszka Małgorzatka
to najpiękniejsza, jaką znam,
najpierwszej linii do ostatka
wiosenny uśmiech niesie nam.
A gdy nadarzy ci się gratka,
że cię postrzelą w prawy but!
To cię opatrzy Małgorzatka,
słodsza niż przydziałowy miód.

Ta Małgorzatka to unikat,
gdym na Pilicką dzisiaj wpadł,
czytała głośno komunikat,
a w dali cicho szumiął piat.

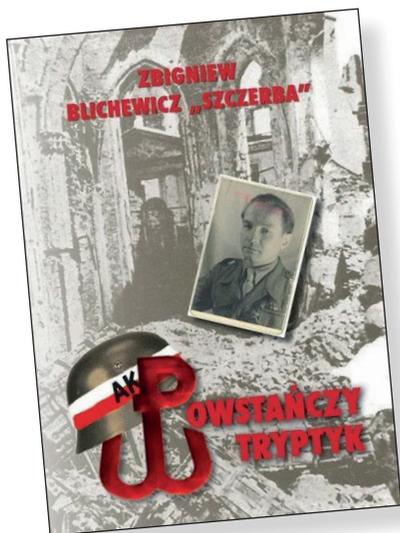
Tak jakoś dziwnie się złożyło,
bo choć nie miałem żadnych szans,

niespodziewanie przyszła miłość
jak amunicja do pepanc.

Idylla trwałby do końca,
lecz mały szczegół zgubił mnie,
dziś z innym chodzi po Odyńca,
bo on ma stena, a ja nie!

Sanitariuszko Małgorzatko,
jakże twe serce zdobyć mam?
Choć sprawa wcale nie jest łatwa,
lecz jeden sposób na to znam.
Od Zbyszka dziś pożyczę visa
i gdy nastanie wreszcie zmrok,
pójdę na szosę po „Tygrysa”,
u stóp Małgosi złożę go!

Kalisanie w Warszawie Nr 66-67, listopad 2013 str. 9-10



Zbigniew Blichewicz „Szczerba”
„Powstańczy tryptyk”
Oficyna Wydawnicza FINNA 2015

Kaliszanie w konspiracji warszawskiej i Powstaniu 1944 – polegli, zaginieni, pochowani, nieznani...

Wraz z końcem obchodów 70 rocznicy wybuchu i upadku powstania warszawskiego nie powinna skończyć się pamięć o Kaliszanach, którzy w powstaniu walczyli i ginęli. Nie zawsze mają groby w stolicy, bo czasem rodziny przeniósły ich na Ziemię Kaliską, lub tam gdzie rzucił ich los, albo jako zaginieni grobów nie mają wcale, ukryły ich gruzy miasta, bądź też leżą wśród poległych NN. Niektórzy przeżywszy powstanie zmarli już po wojnie na obczyźnie, inni wrócili by spocząć w ojczystej ziemi. Odwiedzając warszawskie cmentarze pamiętajmy o Nich. Coraz mniej jest też Tych, którzy jeszcze żyją... Przybliżę tu niektórych, w krótkich biogramach by przypomnieć Ich walkę...

Chalewińska Czesława Halina, ps. „Wala”, strz. AK, sanitariuszka WSOP – Wojskowej Służby Ochrony Powstania, zgrupowanie „Leśnik”, *1909 Kalisz, c. Jana i Heleny z d. Szczerba vel Szczyrb; do 1944 zam. ul. Ogrodowa w W-wie; walczyła na Woli i St. Mieście; +28.08.1944 ul. Wójtowska; miejsce pochowania nieznane; na murze pamięci MPW – Muzeum Powstania Warszawskiego: kolumna 137, pozycja 12.

Chalewińska Irena, ps. „Lena”, „Uta”, strz. AK, sanitariuszka WSOP, 2x odznacz. KW, „19.10.1910 Kalisz, nauczycielka; mieszkała, walczyła i poległa z w/w siostrą; na murze MPW: kol. 132, poz. 7.

Hejman vel Heyman Mieczysław, s. Wolfa Leona, ps. „Albin”, „Kazik”, „Michał”, „Mietek”, „Sęk”, żołnierz GL, *25.12.1908 Kalisz, poległ 9.02.1943 na pl. 3 Krzyży, miejsce pochowania nieznane...

Odorkiewicz Cyprian, ps. „Krybar”, por. rez. WP, kpt. AK, d-ca zgr. „Krybar” na Powiślu, *1901 Kalisz, pracownik RWE, +1966 Monachium; nie wiedziałem o tym, gdy już w podstawówce kiedy powstanie było politycznie niesłuszne, bywałem na mszy za powstańców „Krybara” u św. Teresy na Tamce; mieszkałem u wujostwa na Solcu, gdzie wypalone piwnice pamiętały powstanie...

Ścibor-Rylski Zbigniew, ps. „Motyl”, pchor. lotn. WP, kpt. AK, d-ca kompanii, gen bryg., prezes Związku Powstańców Warszawskich, 2x VM i 2x KW, *1917, w 1935-37 zam. w Kaliszu, gdzie ukończył gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki...; tylko z szacunku do Niego obecne władze nie są bardziej wygwizdywane przy składaniu wieńców pod pomnikiem Gloria Victis na Powązkach Wojsk.

Górecki Stanisław, ps. „Góral”, ppor. rez. WP, por. AK, mgr farm. UP 1932, przedwojenny aptekarz warszawski, *14.05.1906 Maciszewice, gm. Blaszkki; jego starsza siostra Marianna była żoną znanego kaliskiego fotografa Jackowskiego, stąd też zachowało się w rodzinie wiele starych zdjęć; do 1944 zam. w W-wie, ul. Kaliska przy pl. Narutowicza, ale też dla konspiracji na Miedzianej, Słupeckiej...; był tak db. zakonspirowany, że nawet koledzy myśleli, że jest kawalerem..., a tymczasem on dla bezpieczeństwa wywiózł rodzinę poza W-wę; walczył w 44 komp. WSOP na Woli, Starym Mieście, potem kanałami przeszedł na Żoliborz gdzie poległ +18.09.1944; wg in. wersji, być może dla zmylenia UB... (jaką przedstawił kolega z oddziału, por. Tadeusz Blauth, ps. „Kit”) po przejściu ze Śródmieścia od „Zagończyka”, na Żoliborz do „Żywiciela”, ranny 4.08.1944, +5.08.1944 o godz. 13.55 w szpitalu w forcie na Żoliborzu, pochowany w parku Żeromskiego przy forcie od strony ul. Mickiewicza; zginął więc w cytadeli jak kiedyś ginęli przodkowie...; ekshumowany do gr. rodzinnego w Kliczkowie, p. Sieradz; na murze pamięci MPW: kol. 100, poz. 16; jego potomkowie, a moi krewni mieszkają na Żoliborzu....

Z mych krewnych w powstaniu poległ też ojciec cioci, (żony brata mej mamy) Aleksander Śniegocki, ps. „Sano”?, ur. w Kijowie, przedwojenny adw. warszawski z kancelarii na Hożej, +13.09.1944 pochowany na ul. Lwowskiej 13 w prawym rogu podwórka, ekshumowany na cm. Bródno, kw. 33A, jego syn Henryk mając 15 lat był łącznikiem batalionu „Kiliński” AK, zdobywał Prudencjał i Pastę, po wojnie utrzymywał całą rodzinę: matkę i 2 siostry, pracując przy najbardziej popłatnej wtedy ekshumacji powstańców...; pracownik Rady Państwa PRL, pochowany cm. Północny. Nie zdążyłem go poznać osobiście, bo trafiła dopiero na pogrzeb, gdy już jako 8-klasista przyjeżdżałem do cioci, jego siostry na wakacje i potem niemal co tydzień po gazetki „Solidarności” w stanie wojennym...; historia i tu zatoczyła koło, bo syn Aleksandra, Antoni wrócił do Kijowa i ożenił się z Ukrainką...

Męża i dzieci straciła po części w obronie W-wy 1939 i potem w powstaniu moja ciocia Maria Witek, zam. po wojnie w Poznaniu, pochowana na długim cm. Junikowo...

Kaliski dom przy ul. Młynarskiej 21, w jakim się wychowałem też ma swoją powstańczą historię. Dzieciństwo spędził tam 17-letni powstaniec żołnierz „Parasola”, kawaler KW i brytyjskiego Medalu Wojny, Krzysztof Bolesław Stengert. Po powstaniu jeniec wojenny, zwiadowca u gen. Andersa i pianista jazzowy...; w 1949 wrócił do Polski i po studiach w Poznaniu w 1953 został lekarzem, a w 1969 docentem AM w Łodzi. W 1974 wyemigrował do USA, profesor anestezjologii University of California w Davis, kierował też anestezjologią szpitala w Sacramento, konsultant szpitala US Air Force w Travis. Zm. w 1987 po wypadku, gdy jako rowerzysta został uderzony kamieniem spod kół samochodu, pochowany w USA. Był synem mjr WP Jana Tomasza Stengerta, d-cy łączności w 25 Kaliskiej DP, późniejszego ppłk NSZ ps. „Siwy”. Strych kaliskiego domu w latach 1942-44 wiele razy ukrywał Krysa, żołnierza warszawskiej konspiracji. Jego rodzina zam. obecnie w Poznaniu i USA.

Jako ministrant w par. Opatrzności Bożej na ul. Polnej w Kaliszu służyłem do porannych mszy powstańcowi warszawskiemu, budowniczem kościoła, proboszczowi Józefowi Kołacińskiemu, a religii uczył mnie m.in. ks. Dominik Pankiewicz, pochodzący z Litwy artylerzysta, obrońca stolicy...

Pochowani lub upamiętnieni na Powązkach Wojskowych:

Kamiński Tadeusz, ps. „Olek”, ppor. AK, d-ca III plutonu 1 komp. Batalionu „Parasol”, odznaczony KW, *12.11.1921 Ostrów Wlkp., +19.09.1944 Czerniaków, kw. Batalionu „Parasol” A-24, rz. 7, na przeciw Gloria Victis; na murze pamięci w Muzeum PW: kol. 198, poz. 27; błędy w danych degradują go do plut. pchor. i odmładzają o 1,5 mies...; wcześniej 6.5.1944 wraz z n/w „Kastorem” brał udział w zamachu przed komendą Gestapo przy al. Szucha 16 na Waltera Stamma, mjr SS i radcę kryminalnego tajnej policji; był członkiem zespołu wykonawczego oddz. „Pegaz” Kedywu, uzbrojonym w pistolet i granat; w powstaniu walczył na Woli, Starym Mieście i Czerniakowie. Pamiętamy Ich, przechodząc!

Kozłowski Jerzy, ps. „Kastor”, pchor. GS Szarych Szeregów, Kedywu AK, *1923 Kalisz, +6.05.1944 W-wa, c. ranny w nieudanym zamachu j/w,

członek ubezpieczenia uzbrojony w 2 pistolety i 5 granatów, poległ po pościgu SS, w trakcie odskoku na ul. Szwoleżerów k. Parku Agrykola w unieruchomionym samochodzie Wanderer, samo-wysadzonym granatami przez 4 rannych zamachowców; umieszczony wśród 8 na tablicy pamiątkowej przy al. Szucha 16; Powązki Wojskowe w kwaterze „Parasola” na kamieniu pamięci 2 od lewej, pochowany (symb.?) cm. par. w Blaszkach.

Przybylska Jadwiga, ps. „Jadzia”, „Jadwiga”, strz. AK, łączniczka 2 komp. IV zgrupowania „Gurt”, odznaczona KW, *16.04.1924 w Kaliszu; zam. W-wa, Sienna 20; walczyła w Śr. Pn. +11.09.1944 przy Chmielnej 49 pod gruzami hotelu Astoria podczas próby przeniesienia rannych; kw. A-27, rz. 13; na murze pamięci w Muzeum PW: kol. 165, poz. 50; jej mąż Henryk ps. „Kmita”, ppor. AK w tym samym zgr., przeżył powstanie i walczył wśród Żołnierzy Wyklętych w oddziale WiN mjr Hieronima Dekutowskiego ps. „Zapora”; w 1947 skazany na 5 lat więzienia; w 1956 w wypadkach poznańskich.

Skokowski Julian, ps. „Zaborski”, gen. bryg., d-ca piechoty 25 Kaliskiej DP i Grupy „Palmiry” w 1939; w powstaniu warszawskim d-ca: AL, PAL, KB; po wojnie w LWP d-ca OW Kraków; 1948-55 więzień polityczny, *25.5.1886 Łotwa, +11.3.1959 W-wa, kw. II 828, rz.3, KK odwiedza Jego grób...

Tęsiorowski Jerzy Bronisław, ps. „Zawada”, ppor. zaw. plech., kpt. Kedywu AK na Pradze, mjr WP, *12.07.1915 Bukowiec, p. Sieradz, +27.02.1991 W-wa, odznaczony VM, gdyby nie to, że był aresztowany przed powstaniem z pewnością by w nim walczył, kw. H-III, rz. 4, idąc do pomnika smoleńskiego skróćmy w lewo k. studni i odwieźmy Go po drodze, bo był też współzałożycielem Klubu Kaliszan w Warszawie, być może był mym dalszym krewnym, bo moja prababcia była z d. Tęsiorowska, niestety nie udało mi się Go spotkać za życia, teraz już tylko odwiedzam jego grób...

Żołnierze LWP pochodzący z Ziemi Kaliskiej polegli w walkach o Warszawę, niosąc pomoc powstaniu 1944 i zmarli z ran po nim oraz w walkach o Pragę i w rozminowywaniu stolicy...

2 pochowani na Powązkach Wojskowych:

Kasprzak Piotr, s. Joachima, chor. 1 kompanii karnej z 1 Warszawskiej DP im. Tadeusza Kościuszki, *27.10.1902 Siemianice, p. Kępno, +25.10.1944 rej. Jabłonny, p. Legionowo, kw. B-4, rz. 6, blisko Jaruzelskiego...

Krawczyk Władysław, s. Wojciecha, por. 5 Kołobrzeskiego p.p. z 2 Warszawskiej DP im. gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, *2.09.1906 Bronowo, p. Pleszew, +19.09.1944 W-wa Zacisze, kw. A-6, rz. 3, leży za plecami Bieruta...

2 pochowani na cmentarzu parafialnym w Aleksandrowie, Warszawa Wawer:

Janik Franciszek, s. Ignacego, st. sierż. 2 Berlińskiego p.p. z 1 Warszawskiej DP im. gen. Tadeusza Kościuszki, *1910 Piekary, p. Turek, +22.09.1944 Józefów Michalin, p. Otwock, pr. str., 11 cz., rz. 4.

Lancman Ignacy, s. Hersza, plut. 1 Praskiego p.p. z 1 WDP im. gen. Tadeusza Kościuszki, *1908 Kalisz, +11.9.1944 W-wa Anin, lewa str., na jego macebie położyłem 2 kamienie, z W-wy i Kalisza...

1 pochowany na wybitnie zaniedbanym Cmentarzu Ofiar Wojny, ul. Kościuszkowców, Warszawa Wawer:

Szolakowski Józef, s. Aleksandra, kpr. 6 p. p. z 2 Warszawskiej DP im. gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, *1923 Józefina p. Kalisz, +5.10.1944 Glinki, p. Otwock, błąd na grobie: Szolakowski.

1 pochowany na cm. par. Warszawa Rembertów, ul. Grzybowa, w tzw. realu jego grobu...:

Kaj Edward, s. Stanisława, chor. 3 Berlińskiego p. p. 1 WDP, *1925 Krotoszyn, +2.10.1944 rej. W-wy.

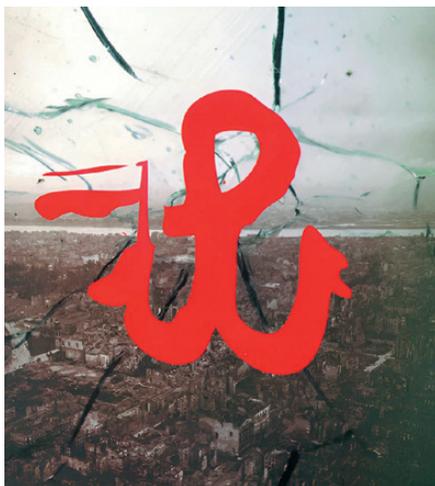
To tylko nieliczni, bo było ich w powstaniu kilkuset, kilkudziesięciu poległo, wielu jednak przeżyło. Nie wszystkich już uda się ustalić współcześnie, liczni zmarli w obozach i potem na wolności z powstańczych ran, część uciekła z transportów jenieckich, inni wyszli z miasta z ludnością cywilną. Byli po wojnie prześladowani, często nie ujawniali powstańczej przeszłości, zmarli nim powstanie przestało przeszkadzać ludowej władzy. Zginęły całe rodziny, rzadziej całe ocalały, tonęli w Wiśle, bądź ta sama rzeka ich ocaliła. Walczyli nie tylko w AK, ale też w BCH, NSZ, Syndykalistach, GL, AL, PAL, KB, LWP. Walczyli w „Zośce”, „Parasolu”, „Gustawie”, „Baszcie”, „Krybarze”, „Czacie 49”, „Kilińskim”, „Krysce”, „Żywicielu”, „Rogu”,

„Oazie”, „Grupie Kampinos”, komp. Syndykalistów i in., byli też popowstańcami robinsonami. Pisałem to w 70 rocznicę upadku powstania i nie jest to sprawa zamknięta.

Mam jeszcze do sprawdzenia wiele śladów i może niejeden grób odnajdę, a zaniedbany czy „zaginiony” wyciągnę z niebytu i wywalczę należną im cześć...

Tomasz Górecki

Kaliszanie w Warszawie Nr 70-71, październik 2014 str. 26-31



Źródła:

Listy ekshumacyjne PCK 1945/46; Stachiewicz Piotr „Parasol”. Dzieje oddziału do zadań specjalnych Kedyw KG AK, W-wa 1981; The UC Davis Physician, In Memoriam, University of California 1987; Michalska Hanna, Słownik uczestniczek walki o niepodległość Polski 1939-45: poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej, W-wa 1988; Affek-Bujalska Barbara, Księga pochowanych żołnierzy polskich poległych w II wojnie światowej, t. 2: podziemne formacje niepodległościowe, Pruszków 1994; j/w, tom 4: żołnierze polegli na wschodzie, Pruszków 1995; j/w, Suplement, Pruszków 1996; Muzeum Powstania Warszawskiego; archiwa rodzinne, kwerendy terenowe cmentarzy i ustalenia własne autora.

Kazimierz Wierzyński

1-go września 1944

Jeśli padnie Warszawa,
to nie miasto padnie,
I nie polska stolica
w podziemiach swych skona,
Lecz wolność wszystkich ludzi,
zdeptana gdzieś na dnie,
I prawda wszystkich czasów,
przez wszystkich zdradzona.

Więc zbudźcie się,
nim wrony i kruki zakraczą.
Zbudź się świecie,
przed zgubą, co światy wyniszcza!
To nie jest głos Warszawy.
To w boju rozpaczą
Pierwszy twój żołnierz woła,
najstarsze twe zgliszcza.

wrzesień 1944

Z tomu „Krzyże i miecze”, 1946 r.; Kazimierz Wierzyński, „Poezje zebrane” Londyn – Nowy Jork

Kaliszanie w Warszawie Nr 74-75, październik 2015 str. 28



Klub Kaliszan w Warszawie

ul. Elektoralna 12, 00-139 Warszawa

Numer KRS: 0000064044

REGON: 362470047, NIP: 5252631004

Autorem znaczka Klubu Kaliszan jest Jan Tarasin

Konto bankowe Klubu Kaliszan w Warszawie:

Bank Polska Kasa Opieki S.A.

05 1240 6292 1111 0010 6242 3952

Rejestr Stowarzyszeń:

Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy,

XX Wydział Gospodarczy Krajowego Sądu Rejestrowego

Nr 00000 640 44

Pismo jest wydawane sumptem społecznym.

Koszty przygotowania do druku i druk są pokrywane
ze składek członkowskich Klubu Kaliszan.

Nasze czasopismo jest dystrybuowane wśród członków
i sympatyków bezpłatnie.

Opracowanie redakcyjne:

Bogdan Bładowski, Katarzyna Chojnacka, red. nacz. Piotr Majewski

Skład i przygotowanie do druku:

LOTOS Poligrafia Sp. z o.o.

Autorzy zdjęć:

I str. okładki – K. Chmura; IV str. okładki – Zbyszko Siemaszko
(zdjęcia na okładce dzięki uprzejmości Mazowieckiego Instytutu Kultury).

Zdjęcia wewnątrz numeru:

Andrzej Dębowy, Piotr Majewski, archiwum

Korespondencję prosimy kierować pod adresem:

ul. Słomińskiego 15 m. 34, 00-195 Warszawa

tel. (22) 637 51 13, fax (22) 637 51 14

e-mail: leguinn@wp.pl



